Nr. 31. Warszawa, dnia 22 Lipca (4 Sierpnia) 1900 r. **Rok XX.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8. z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Adres: Sadowa Nr. 11.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: POLITYKA: Król Humbert — Tydzień polityczny. — ODCINEK: Cienie chińskie, Uang-Ming-Tse, I, p. Wacława Sieroszewskiego — ŻYCIE SPOŁECZNE: Ubezpieczenie robotników, I, p. Zen. Piet. — IX zjazd lekarzy i przyrodników polskich, I, p. dr. Edwarda Flatana. — FEJLETON: Z czasu. p. Tadeusza Ulanowskiego.—Pamiętnik. — BADANIA NAUKOWE: Z przeszłości przedhistorycznej, III. — Notatki naukowe. — LITERATURA I SZTUKA: Literatura szwedzka, II, p. Malwinę-Posner Garfeinową. — Wystawa paryska. August Rodin, p. K. Radosławskiego — Notatki literackie i artystyczne. — SPRAWY EKONOMICZNE: Era maszyny (według prof. G. Schmollera), II. — Kronika. — Odpowiedzi Redakcyi.

„W dniu 11 (24) lipca o g. 12 pp. odbyło się w Kaliszu uroczyste odsłonięcie i poświęcenie pomnika Cesarza Oswobodziciela Aleksandra II, przyczem w uroczystości odsłonięcia wzięło udział wojsko garnizonu. Po przybyciu na miejsce generał adjutant J. O. Ks. Imeretinski przyjął raport od dowodzącego paradą dowódcy pułku, następnie, obszedłszy oddziały i pozdrowiwszy ludzi, zajął miejsce koło pomnika, okrytego białą zasłoną, wojsko zaś uszykowało się z trzech stron około J. O. Księcia, pozostawiając stronę czwartą otwartą. Obecni też tu byli: zaproszeni urzędnicy administracyi cywilnej, wójtowie wszystkich gmin w gubernii Kaliskiej, którzy wyrazili chęć asystowania w uroczystości poświęcenia i duchowieństwo katolickie, które powinno było dokonać obrzędu poświęcenia. Wkoło, wszędzie, gdzie tylko było miejsce, masa publiczności. Gdy ksiądz podszedł do pomnika, ażeby go pokropić wodą święconą, opadła przykrywająca pomnik zasłona i przedstawił się on w całej swej piękności. Wyobraża on pięknej roboty biust Cesarza, ustawiony na wysokim piedestale kamiennym, od którego w cztery strony prowadzą na dół szerokie stopnie.

„Na piedestale, w kształcie wysokiego, czworobocznego słupa z uciętemi krawędziami bocznemi wyryte są złotem w języku rosyjskim i polskim napisy następujące: od strony frontowej: „Cesarzowi Aleksandrowi II od mieszkańców, członków administracyi i sądu w gubernii Kaliskiej.“ Z prawej strony: „Obdarzenie włościan ziemią 19 lutego 1864 r.“ Od strony tylnej: „Wprowadzenie ustaw sądowych 1864 roku w guberniach Królestwa Polskiego 19 grudnia 1875 r.“ i z lewej strony: „Utworzenie gubernii Kaliskiej 1867 roku.“

Gdy duchowieństwo katolickie skończywszy poświęcanie pomnika, odeszło, z ulicy, prowadzącej do pomnika od strony miasta ukazał się pochód krzyżowy z duchowieństwem prawosławnem, z wyborowym chórem, złożonym z dzieci miejscowej ochrony prawosławnej, a któremu wypadało dokonać poświęcenia pomnika według obrządku cerkwi prawosławnej. Po skończonem poświęceniu i wygłoszeniu wielolecia dla Jego Cesarskiej Mości Najjaśniejszego Pana i dla całego Domu Panującego, i pamięci wiecznej dla Cesarza Aleksandra II, na pomnik włożono wieńce ze świeżych, przewitych wstążkami kwiatów od obywateli miasta, od zarządu sądowego i od instytucyj włościańskich w guberni Kaliskiej. Generał - Adjutant J. O. Ks. Imeretinski podszedł tymczasem do zebranych przed pomnikiem wójtów gmin, z których trzech, obecnych swego czasu na koronacyi Ś-ej Ich Cesarskich Mości Najjaśniejszych Państwa, podali J. O. Księciu chleb i sól w imieniu włościan z gub. Kaliskiej, przyczem jeden z wójtów zwrócił się do J. O. Głównego Naczelnika kraju z następującemi słowy:

„Obecni, będąc z uczuciem wdzięczności głębokiej na odsłonięciu pomnika Cesarza Oswobodziciela, który nas ziemią i wolnością obdarzył, prosimy J. O. Księcia, jako przedstawiciela naszego Monarchy, przyjąć chleb i sól od włościan z guberni Kaliskiej.“

(*Warsz. Dniewnik*).

Rozkaz do wojsk warszaw. okręgu wojennego z d. 14 (27) lipca 1900 r.

Franciszek syn Jana Świderski lat 22, włościanin z pow. Opatowskiego gub. Radomskiej i Walenty syn Stefana Woźniak lat 21, włościanin z pow. Włocławskiego gub. Warszawskiej, na skutek przeprowadzonego względem nich śledztwa pierwiastkowego i odrębnego badania, oskarżeni są o to, że porozumiawszy się z sobą i osobami dotąd niewykrytemi w celu pozbawienia życia Antoniego Grzeszczaka, majstra z fabryki Weszickiego, za to, że nie przyłączył się on do bezrobocia urządzonego w owej fabryce d. 16 stycznia (st. st.) 1900 r., chcąc spełnić ów zamiar, d. 16 lutego (st. st.) tegoż roku, zrana, uzbrojeni, Świderski w lewar, a Woźniak w kawałek żelaznej rury wodociągowej, napadli na przechodzącego koło nich Grzeszczaka na ulicy Towarowej w Warszawie i zadali mu w głowę i w twarz kilka uderzeń temi narzędziami, rozbili mu czaszkę, zmiażdżyli twarz i mózg, wskutek których to uszkodzeń Grzeszczak zmarł w ciągu kilku godzin.

Za ten czyn, przewidziany w art. 279 ks. XXII Zb. pr. woj. 1869 r. Franciszek Świderski i Walenty Woźniak, na zasadzie art. 260, 262, 267 ustawy wojenno-sądowej i art. 31 prawa o środkach dla ochrony porządku państwowego i powszechnego spokoju, zgodnie z opinią wojskowego nadzoru prokuratorskiego przy sądzie okręgowym wojennym w Warszawie, oddani zostali temuż sądowi wojennemu dla osądzenia ich podług praw obowiązujących w czasie wojny.

Podpisano:
Dowodzący wojskami Generał-adjutant
Książę Imeretinski.

(*Warsz. Dniew.*).

POLITYKA.

Król Humbert.

W starożytnej stolicy królów longobardzkich, w Monzy, o kilka mil na północ od Medyolanu, śmierć okrutna, bo nienaturalna, przedwczesna, zaskoczyła panującego króla włoskiego. Stało się to w ubiegłą niedzielę, d. 29 z. m. Król, swój stosunek do narodu po za obrębem wykonawczej władzy zaznaczający stałą uprzejmością, potrzebną dla wkupienia w łaski ludu młodej jeszcze i nie we wszystkich prowincyach jednakowo uznawanej dynastyi, nie odmówił zaproszeniu syndyka miejscowego i znalazł się tego dnia późnym już wieczorem na popisie towarzystwa gimnastycznego. Kiedy po rozdaniu nagród, połączonem z osobistemi zachętami, wsiadł do powozu i wyruszał do czarownej swej rezydencyi, z tłumu ciekawych wysunął się jakiś ubogo ubrany obywatel królestwa włoskiego, wyjął rewolwer, dał szybko cztery strzały i zanim go przytrzymano, trzy kule tkwiły już

w ciele królewskiem. Rany były śmiertelne, piorunujące. Ofiarę dowieziono do rezydencyi w stanie konania; w pół godziny po wypadku, po 10-ej, król już nie żył. Morderca, Kajetan Bresci, rodem z Prato, niedaleko od Florencyi, z zawodu tkacz-jedwabnik, wrzekomo przybyły przed dwoma miesiącami z Ameryki, z Paterson, pokrwawiony od zemsty doraźnej, policyi tylko zawdzięcza życie, należące do kata.

Od zamachu Passamantego, w r. 1878, w Neapolu, zaczęło się niemal panowanie Humberta I, zamachem Bresciego się kończy. Sprawca morderstwa nie tail swego charakteru polityczno-społecznego: jest anarchistą wspólników nie miał, działał z własnego przekonania i na własną tylko odpowiedzialność: tak zeznał w pierwszem śledztwie.

W stronnictwie przewrotu Włosi są najczynniejsi. Włoch zrósł się z nożem, odwieczny nóż zaprawił go do nowoczesnego rewolweru. W dziejach włoskich od XIII do XVII w. nóż obok trucizny był nietylko narzędziem, nietylko czynnikiem, ale i działaczem w życiu obyczajowem, międzycząsteczkowem społeczeństw włoskich, był też działaczem i w małej i w wielkiej polityce. Nóż włoski ma za sobą wielką tradycyę. Gdy w r. 1894 postanowiono ugodzić w Carnota, nie znalazł się żaden Francuz, znalazł się Włoch, Caserio, do wymierzenia ciosu. Na cesarzową austryacką godzący bez wyboru, byle tylko w najwyższe szczyty prąd skryto-rewolucyjny wysłał we wrześniu 1898-go roku Włocha, Luccheniego. Nawet w zamachu Sipida w Brukselli na księcia Walii ubiegłej zimy, włoskie występuje nazwisko i włoska też krew. Przypomnieć potrzeba, że i w okrucieństwie barcelońskiem, w zamachu dynamitowym na spokojną publiczność w teatrze, wykryto współczynną rękę włoską. Widocznie w charakterze narodowym jest nietylko pociąg, ale i pewna zdolność do skrytobójstwa. Nie można też wątpić, że stosowaniu tej zdolności sprzyja rozprzężenie społeczno-umysłowe, ściśle złączone ze złym stanem ekonomicznym, z nędzą ludu większy niż gdziekindziej wytwarzającą procent w ogólnem uwarstwieniu dobrobytu narodowego; sprzyja też i wewnętrzne rozłupanie polityczne Włoch na prowincyonalizmy, zasilane radykalizmem i republikanizmem, wciąż rosnącym.

Tydzień polityczny. Po edykcie cesarza chińskiego zjawia się edykt cesarzowej wdowy, z d. 24 lipca, i potwierdza również zapewnienia chińskie, że posłowie żyją i jeden tylko niemiecki życiem przypłacił, nie 18, ale 20, czerwca, charakter swój cudzoziemca i posła, niemieckiego specyalnie. W tym samym edykcie posłowie zatrzymani są jako zakładnicy. Tuan musi wciąż jeszcze stać na czele ruchu, który nie ustał, tylko już gwałtów nie popełnia, gdyż w Kantonie nawet ogłoszono, jeżeli telegraf europejski nie zmyśla, odezwę tuanowską o nagrodzie za głowę każdego cudzoziemca. Li-Chung-Czang, którego tu przedwcześnie ukazano już w Pekinie, bawi wciąż w Szang-haju; konsulowie nie chcą z nim rozmawiać; pełni on rolę agenta telegraficznego rządowego.

Podobno w Waszyngtonie przekonano się o sfałszowaniu depeszy Congera; ale jest teraz inna depesza, europejska: pierwszego sekretarza poselstwa niemieckiego, Belowa, z d. 21 z. m., zatem we dwa tygodnie po „wymordowaniu." Od d. 16 lipca nie było już napaści; poselstwa uszkodzone, ale się trzymają. Straż niemiecka na 50 utraciła 24, z tych 10 zabitych. Poseł japoński również przez umyślnego doniósł pod d. 19 lipca, że napady ustały, a postanowiono bronić się do końca miesiąca. Oba te doniesienia są wiarogodne.

Obie strony gotują się do wojny. Chińczycy całe pobrzeże Jang-tse-kiangu, Se-czuan, a nietylko prowincye Czyli. Hon-nan i Szan-si, obwarowują. Ogłoszona księga błękitna angielska przekonywa, że mocarstwa zajmowały się sprawą najwyższego dowództwa. Mówiono o Japonii, ale tę usunęła Anglia, aby nie wprowadzać rozdwojenia. Wojska zwolna przybywają do Taku i do Tien-tsinu, gdzie również był spór o dowództwo, już załagodzony. Potrzeba najmniej 50,000 wojska, aby dokonać coś skutecznego, ale przedsięwziąć pierwsze ruchy można i z 30 tys., a te już chyba być muszą. Chińczycy stoją zaraz za Tien-tsinem. Napady chińskie na Amur ustały.

Ces. Wilhelm, w urojeniu, że wojna z Chinami nie będzie wojną, dał zabitemu Kettelerowi następcę. Wyprawiając nowe oddziały marynarki i wojska do Chin w Bremerhaven d. 27 z. m. pożegnał je zachętą: „Dość wam stanąć przed wrogiem, aby go pobić! Kto wpadnie w wasze ręce, niech się już z nich nie wydobędzie. Jak przed tysiącem lat (pomyłka o 450) Hunnowie pod Attylą wyrobili sobie imię, które dziś jeszcze daje wyraz ich straszliwej potędze, tak niechaj imię Niemca w Chinach na tysiąc lat tak wbije się w pamięć, aby żaden Chińczyk nigdy choćby tylko spojrzeć z podełba na Niemca nie śmiał."

Na szacha perskiego, który po kuracyi w Contrexevile pojechał do Petersburga, a stamtąd zjawił się w Paryżu, w poniedz. d. 30 z. m. miano wykonać zamach: dziwna jednoczesność z zamachem Brezziego, zdaje się wszakże, iż bez związku. Dopuścić się go miał jeden z aktorów trupy perskiej na wystawie; wspólnik jego zbiegł. Policya zapobiegła zamachowi uwięzieniem. Indywiduum nazywa się Araman.

Król Humbert I żył lat 56, panował od d. 9 stycznia 1878 r., zostawił jedynego syna, obecnie Wiktora Emanuela III, lat 31, ożenionego w roku 1896 z księżniczką czarnogórską, Heleną. Dynastya sabaudzka jest bardzo nieliczna. Gdyby dzisiejszy król nie pozostawił potomków, korona przeszłaby na linię stryjeczną, księcia Aosty, byłego króla hiszpańskiego. Nowy król znajdował się w chwili nieszczęścia w Pireus. Stamtąd d. 31 z. m. był w Brindisi, a nad ranem w Rzymie. Papież pierwszy przesłał współubolewanie i sam odprawił mszę żałobną nazajutrz po wypadku.

Anglicy ścigają Boerów około Middelburga. Boerowie zabrali im znowu teraz 100 Walijczyków i kilka dział. Opór wszakże słabnie, bo wszelka siła ma kres. Poddają się nieszczęśliwi gromadkami po 50, po 100. Anglicy donoszą o warunkowem poddawaniu się całych czterech, czy nawet pięciu tysięcy. Mógłby to być chyba sam De-Wett. Chamberlain zagrzmiał znowu w Izbie gmin; ale te jego gromy to stara tandeta.

CIENIE CHIŃSKIE.

I.

Uang-Ming-Tse *).

Słońce zachodziło nad doliną Uang-Mo-Chi. Miedziane jego światło ślizgało się łagodnie po kwitnących wzgórzach i rzucało tu i owdzie na uprawne ich stoki długie cienie od przysadzistych drzew pomarańczowych, od smukłych, wachlarzowatych palm i wysokich, drżących bambusów. Z powiewami ciepłego wiatru płynęły nad okolicą szmery ciche, srebrne i jednostajne, gdyż była to pora spuszczania wody z górnych pól ryżowych na dolne. Wszędzie więc lały się jej potoki. Blado przebłyskiwały na tarasach pagórków z pod jasnych aksamitów opuszczanych runi ryżowych, z pod ciemnych szczotek trzcin cukrowych, w biegu rozświetlały na pochyłościach gąszcze gajów, gdzie kwitły żółte i karminowe azalie, gdzie wiły się poczwarnie rdzawo-liste, dające olej, dryandry, gdzie zwieszały się wiotkie gałęzie krocienie łojowe, podobne do brzóz. Coraz szerzej rozlewały się wody w dole wśród rudych, świeżo spulchnionych pól, tworząc plamy i smugi błękitno-srebrne.

Pod niebem pogodnem ta ziemia jasna, szmaragdowa, przetkana połyskliwemi nićmi i płatami wody, podobna była zaiste do bogatej, wzorzystej lamy wschodniej.

Środkiem doliny toczyła poważnie muliste fale szeroka Ta-Szuej-Chi, ujęta w potężne groble i wały ochronne. Gęsto lśniły się wzdłuż jej brzegów porcelanowo szare, błękitne, czerwone dachy miast i miasteczek; żółte, potrójne kapice pagód skrzyły się wśród drzew, jak sterty szczerego złota. A dalej, na dolinie, świeciły wkoło jasne fanzy wieśniaków liczne, jak roje gwiazd. Białe ich mury tonęły zwykle w zieleni sadów, ale polewane, ciężkie, rogate dachy wznosiły się wszędzie ponad otoczeniem, aby dobroczynne Fong-Szujej mogły je obwiewać oraz stały na wzniesieniach, aby zdradliwe Fong-Szujej podziemnych wód nie psuły podwalin słupów budowli, nie zatruwały swym oddechem ich mieszkańców.

Niedaleko fanzy krytej czerwoną dachówką, na szczycie wzgórka zasadzonego krzewami herbaty, pracowało dwóch ludzi, ubranych w niebieskie, nankinowe szarawary i podobne kurtki. Pełzali zgięci nizko wśród szeregów szarych, niepokaźnych drzewek, pełli chwast, spulchniali ziemię i zasypali odarte już z liści rośliny garstkami kompostu. Duży, opleciony słomą imbryk porcelanowy i zwierzchnie ubranie wieśniaków leżały opodal.

Starszy pracował pilnie, nie podnosząc na chwilę głowy, młodszy chwilami spoglądał ukradkiem na sąsiedni wzgórek, gdzie również widać było pracowników i skąd dolatywały wesołe dźwięki Sin-Fa, śpiewanej przez kobiety. Stary dostrzegł przelotnie jego spojrzenie i nachmurzył się:

— Spiesz się, A-Pe! Słońce już nizko. Co powiedzą sąsiedzi, gdy zostawimy na uroczyste święto rodzinne kilka krzewów niezasilonych strawą. Daremnie spoglądasz na zachód: nie z tej strony ma przyjść dla ciebie szczęście...

A-Po opuścił głowę i drobne jego ręce szybko zamigały nad ziemią.

— Ojcze, wszak wróżby zmieniają się czasem! — wyrzekł po chwili.

— O, tak! Wróżby zmieniają się czasem, ale rzadziej zmieniają się moje postanowienia...

Nie mówili już do końca roboty. Gdy, zabrawszy imbryk i zarzuciwszy na plecy wierzchnie ubranie, schodzili z pagórka, słońce zaszło i nagły zmrok napływał od wschodu. Na ciemniejącej ziemi zapalały się mnogie światła. Z okolicznych pól kupki pracowników ciągnęły zwolna ku chatom. Z poblizkiego gaju wyszły dwie kobiety z gronem dzieci i poczęły grzbietem kamiennej balustrady okrążać nieduże pole ryżowe, przylepione, niby gniazdo jaskółcze, do stromego pagórka. Potężne słupy z nieciosanych głazów podpierały je z dołu. Woda kapała po omszonych ka-

---

*) Materyał faktyczny zapożyczyłem z dzieła G. Eug. Simona: *La cité chinoise*.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

UBEZPIECZENIE ROBOTNIKÓW.

I.

Znaleźliśmy w XVI-ej grupie wystawy powszechnej w Paryżu, obejmującej hygienę, dobroczynność i ekonomię społeczną, bardzo ciekawe materyały i eksponaty, dotyczące ubezpieczenia robotników. W oddziale rosyjskim pomienionej grupy starannie opracowane dyagramy z objaśnieniem inżeniera-technologa, p. Pressa, dają nam możność scharakteryzowania tego ruchu, który w życiu społecznem i ekonomicznem wielotysięcznych mas odgrywa i odgrywać będzie niezmiernie ważną rolę.

Podczas gdy na zachodzie Europy ruch w tym zakresie rozwinął się bardzo szeroko, zwłaszcza w ósmem dziesięcioleciu wieku bieżącego, Rosya zaledwie niedawno zaczęła czynić zabiegi około stworzenia i rozwinięcia tak ważnej działalności. Przed laty dwunastu nie było ani jednej instytucyi asekuracyjnej, któraby się zajmowała ubezpieczaniem robotników. Dopiero w r. 1888 Towarzystwo „Rosya" wprowadziło ubezpieczenia od wypadków nieszczęśliwych. Następnie poszły za jego śladem inne („Pomoc," „Troskliwość," „Tow. Petersburskie," „Jakor," „Pierwsze rosyjskie tow. ubezp."). W r. 1898 zatwierdzono ustawę Ryskiego Tow. wzajemnego ubezpieczenia fabrykantów i rzemieślników od wypadków nieszczęśliwych. Był to pierwszy akt prawodawczy, który ułatwił zbiorową asekuracyę od wypadków nieszczęśliwych w formie wzajemności. W tym samym roku zatwierdzono ustawę takiegoż Towarzystwa wzajemnego fabrykantów i rzemieślników odeskich. Nadto Towarzystwu „Salamandra" pozwolono wprowadzić dział ubezpieczeń od wypadków nieszczęśliwych. Następnie nadano prawo działalności w tej mierze Towarzystwu francuskiemu.

W roku tym daje się spostrzegać znamienne zjawisko: pomimo pewnego postępu, stosunkowo dość słabo rozwija się ubezpieczenie osób pojedynczych (do tej kategoryi należą także podróżni w pociągach i na statkach). Natomiast ubezpieczenia zbiorowe robotników robią znaczne postępy. Z tablic, ugrupowanych przez p. Pressa, widzimy, że w r. 1888 ubezpieczono (w siedmiu towarzystwach) 1,148 osób pojedynczych i w grupach 40,596. W r. 1898 pojedynczo 15,171, zbiorowo 684,766.

Przyczyną spóźnionego rozwoju ubezpieczeń robotników w państwie rosyjskiem jest między innymi zbyt powolne i słabe szerzenie wiadomości o środkach i sposobach zabezpieczania robotników. Znaczną liczbę wypadków, wynikających z winy przedsiębiorców, przypisywano nieostrożności i niedbalstwu samych robotników. Przekonanie to panowało nietylko śród zarobkodawców, ale nawet robotników, w instytucyach sądowych i wogóle śród wszystkich ludzi, posiadających jakąkolwiek styczność z życiem przemysłowo-handlowem. Skutkiem tego wydatki przedsiębiorców na wynagrodzenie robotników poszkodowanych stanowiły bardzo skromną pozycyę, gdyż tylko w rzadkich wypadkach udawało się udowodnić winę przedsiębiorców. Oczywiście w takich warunkach zbyteczna była asekuracya, gdyż utrwaliło się przekonanie, że niema niebezpieczeństwa, od którego należałoby się ubezpieczać.

Dopiero obecnie, w miarę rozwoju prawodawstwa fabrycznego, po utworzeniu inspekcyi fabrycznej, zaczęto patrzeć inaczej na tę sprawę, do czego znacznie się przyczyniła zasobna już literatura w tym zakresie. Kategorya wypadków „z własnej winy" przybrała inny charakter; władze sądowe rozszerzyły swoje pole widzenia i dziś już zupełnie inaczej traktują te sprawy. Dzięki temu pozycya wydatków na wynagrodzenie za śmierć i kalectwo znacznie wzrosła. Jednocześnie wzrosło ryzyko przedsiębiorców, którzy z trwogą oczekiwali wielkich wypadków, narażających ich kieszenie na znaczne straty. Ta właśnie okoliczność zmusiła wielu zarobkodawców do ubezpieczania swych robotników. Fabrykanci woleli mieć stałą, określoną pozycyę wydatków, niż nieobliczone a niespodziewane straty w razie nieszczęścia.

Taka zmiana zapatrywań i warunków zrodziła się najpierw w pobliżu wielkich ognisk umysłowych, tudzież w tych miejscowościach, w których powstały liczne przedsiębiorstwa z kapitałów zagranicznych, kierowane przez obcych inżenierów i techników. W innych dzielnicach państwa sprawa ubezpieczenia robotników jest zaledwie w bardzo słabym zarodku. Stosunki pomiędzy przedsiębiorcami a robotnikami z jednej strony i instytucyami asekuracyjnemi z drugiej są regulowane obecnie na zasadzie ogólnych przepisów, zatwierdzonych przez ministra spraw wewnętrznych w r. 1887 dla Towarzystwa „Rosya" i stosowanych we wszystkich innych towarzystwach akcyjnych. Asekuracya zbiorowa od wypadków nieszczęśliwych jest umową, której mocą towarzystwo obowiązuje się wypłacić sumę określoną w razie kalectwa, wywołującego niezdolność do pracy na całe życie lub na pewien czas. Nie dają prawa do wynagrodzenia: 1) Wszelkie choroby zwykłe i ich następstwa, nie wywołane wypadkiem nieszczęśliwym podczas pracy. Do tej kategoryi zaliczono paraliże wszelkiego rodzaju, padaczkę, obłęd, chorobliwą utratę pamięci, porażenie słoneczne, operacye chirurgiczne, przepukliny i wszystkie uszkodzenia, pochodzące z podnoszenia ciężarów i innych wysiłków. 2) Wypadki nieszczęśliwe, spowodowane trzęsieniem ziemi, wojną, zaburzeniami, przekroczeniem prawa lub czynem rozmyślnym ubezpieczonych, jawnem pijaństwem, bójkami, samobójstwem. 3) Wszelkie wypadki, które się zdarzyły po za obrębem pracy.

Tak więc dla otrzymania wynagrodzenia od towarzystwa ubezpieczeń wystarcza tylko wykazanie szwanku robotnika i udowodnienie, że nieszczęście zdarzyło się podczas pracy. Tym sposobem towarzystwa ubezpieczeń odpowiadają za znacznie większą liczbę wypadków, niż przedsiębiorcy, podlegający w tym względzie ogólnym przepisom państwa. Towarzystwa ubezpieczeń przyjmują na siebie wszelkie „ryzyko profesyonalne" i dlatego granice ich odpowiedzialności prawie nie odbiegają od granic, wytkniętych przez prawo specyalne o odpowiedzialności przedsiębiorców, ustanowione w państwach przemysłowych zachodnio-europejskich.

Wzrost ubezpieczeń zbiorowych w ob-

---

mieniach, które gęsto oplatały zwoje lijan i bluszczu. Dzieci szczebiocząc, biegły tuż nad przepaścią, ale kobiety, dostrzegłszy mężczyzn w dole, cofnęły się w zarośla. A-Pe mimowoli już w pobliżu domu jeszcze raz głowę w ich stronę obrócił. Ojciec udał, że nic nie widział. Na podwórku otoczonem wysokiem obmurowaniem zastali już dwunastoletniego I-Po, który tylko co przyprowadził bawołu ze spółkowego młyna.

— Zmęczyliście bydlę! — powiedział surowo Uang-Ming-Tse, dotykając ręką spotniałych boków zwierzęcia.

— Ziarno było cokolwiek wilgotne, ojcze! — bronił się I-Po.

— Właśnie! Niewinne bydlę cierpieć musi za lenistwo ludzi... Wytrzyj go słomą i wprowadź do obory!

W domu już czekały na nich z kolacyą kobiety.

— Spóźniliście się!—rzekła żona Uanga, Ta-Niang, popychając zlekka ku ojcu małą Hong-Ju z miednicą pełną gorącej wody i flanelą do wytarcia twarzy i rąk.

— Spóźniliście się! — powtórzyła babka, siwa, wyschnięta jak szkielet staruszka, wysuwająca się z bocznego wejścia.

— Tak, matko! — odparł Uang. — Spóźniliśmy się, gdyż nie chcieliśmy porzucić niedokończonej roboty. Dziś wszyscy później zeszli ze wzgórz.

Podsunął matce krzesło i sam siadł przy stole zastawionym małemi miseczkami z jadłem.

— Rok ciężki... Wszędzie brakuje rąk... Gdzie jednak podzieli się ludzie? Niektórzy nie skończyli jeszcze zbioru herbaty... Rodzina Czeng-Lin-Li... — wtrąciła Ta-Niang.

— Rodzina Czeng nie jest ostatnią... Źle tylko, że pozwalają córce śpiewać w rok smutku!

— Ach! Ona ma tak słodki głos! Za każdym razem zdaje mi się, że słyszę dźwięki dzwoneczków szklanych, które wiatr porusza — szepnęła babka.

Ta-Niang spojrzała przelotnie na syna, który wyciągnął właśnie swe pałeczki po nowy kęs strawy. Chłopak spostrzegł to, zmieszał się i jadło upadło na stół.

— Potrzebujesz, widzę, osobnego talerza, jak Anglik! — roześmiał się Uang.

I-Po i Hong-Ju odpowiedzieli na tę uwagę wesołą wrzawą. I-Po począł pospiesznie opowiadać, co słyszał w młynie. Cudzoziemskie dyabły wypuściły na ziemię żelaznego smoka, który zieje ogniem, przebiera nogami i ciągnie siedzących na ogonie ludzi z towarami... Lecz, aby szedł, trzeba przed nim położyć sznur żelazny, który on łyka, a następnie z tyłu za sobą wypuszcza... Aby mu to szło gładko, mażą mu szczęki olejem wyrabianym z ludzkiego ciała... Dlatego właśnie chrześcianie skupują dzieci chińskie i nawet dorosłych ludzi... Prócz tego, gdzie tylko przejdą, na znak swej władzy przeciągają nikomu niepotrzebne tajemnicze druty na wysokich słupach... Gdzie taki drut przeciągną, widzą wszystko i słyszą wszystko...

— Przychodził handlarz herbaty, ale dawał ceny tak niskie, że nie posłałam go do ciebie — przerwała mowę dziecka Ta-Niang.

— Szkoda! — rzekł w zamyśleniu Uang. Ceny szybko spadają. Ile dawał?

— Dawał śmiesznie mało. Zresztą powiedział, że wróci. Nie wiem, czy możemy sprzedać za tę cenę. Nie opędzimy wydatków...

— Z roku na rok gorzej. Ziemia i robotnik drożeją, a ceny herbaty, ryżu, bawełny spadają i spadają... I tak wszędzie, i tak wszyscy... Czem się to skończy? Skąd idzie?..

Uang w zamyśleniu podniósł palec wskazujący do wysokości ucha i głowę na bok pochylił. Synowi na gwałt trzeba szukać żony, a pieniędzy niema na opłacenie swatki. Zanim nie dowie się o zamiarach sąsiada Czeu, musi trzymać w niepewności dziecko... Cóż robić: łatwiej nie dopuścić do serca nadziei, niż z nią się rozstać! Spojrzał na A-Pe. Ten wstał właśnie i zmierzał ku drzwiom.

— Dokąd?

— Idę wrota zamknąć.

Młody Chińczyk, nim zaparł ciężką, drewnianą zasuwę wrót, wyjrzał na zewnątrz. Ciemność i cisza zalały okolicę; gasły ognie w zasypiających fanzach; tylko nad rzeką jeszcze roiły się czerwone skry świateł z pływających domów i statków, wzlatały spóźnione rakiety na cześć Wodnego Smoka. Z zachodu ciągnęły ciepłe po-

rębie państwa rosyjskiego dowodzi, że przemysł znacznie wyprzedził prawodawstwo, które już dziś nie może odpowiadać potrzebom istotnym. Wprawdzie dla zapełnienia tej luki opracowano w ministeryum skarbu 1899 r. projekt prawa o wynagrodzeniu robotników przez właścicieli zakładów przemysłowych za śmierć i kalectwo podczas pracy; ale dotychczas jeszcze prawo to z dziedziny projektu nie przeszło w czyn. Natomiast istniejące w życiu przepisy ogólnie mówią: „W razie śmierci osoby ubezpieczonej towarzystwo akcyjne wypłaca jako odszkodowanie całkowitą sumę wdowie lub dzieciom, które nie przekroczyły 16-go roku życia. W razie zaś, jeżeli zmarły był kawalerem lub wdowcem bezdzietnym, towarzystwo wypłaca tylko połowę ceny rodzicom jego. W razie kalectwa, pozbawiającego na pewien czas lub na całe życie zdolności do pracy, są trzy stopnie wynagrodzenia: *Pierwszy* — kiedy wypadek nieszczęśliwy pozbawia robotnika na całe życie możności pracy zarobkowej. Tu są zaliczone: zupełna utrata wzroku, obu rąk, obu nóg, jednej ręki i zarazem jednej nogi, obłęd nieuleczalny, pozbawiający wszelkiej zdolności do pracy. W takich wypadkach towarzystwo wypłaca poszkodowanemu pensyę dożywotnią, określoną na podstawie taryfy instytucyi ubezpieczającej: 6% (dla robotnika 30-letniego) do 10% (dla 62-letniego) sumy asekuracyjnej. Stopień *drugi* — kiedy skutkiem wypadku nieszczęśliwego poszkodowany traci na całe życie *w połowie* poprzednią zdolność do pracy zarobkowej. Do tej kategoryi należą następujące wypadki: utrata jednej ręki lub nogi, tudzież obłęd, który jednakże nie przeszkadza pracować fizycznie. W tych razach towarzystwo wypłaca poszkodowanemu pensyę dożywotnią, dorównywającą połowie sumy oznaczonej w pierwszej kategoryi. Stopień *trzeci* — jeżeli robotnik poszwankowany ma na całe życie osłabioną zdolność do pracy zarobkowej. Tutaj zaliczono: zupełną utratę jednego oka, jednego palca (do utraty należy także brak władzy w palcu). W tych razach towarzystwo wypłaca poszkodowanemu nie mniej, niż 10 i nie więcej, niż 25% pensyi pierwszej kategoryi.

Towarzystwo po porozumieniu z ubezpieczającym się ma prawo zapłacić mu zamiast pensyi odpowiedni kapitał jednorazowy. Jeżeli umowę zawarto z warunkiem wynagrodzenia za chwilową utratę zdolności do pracy zarobkowej — Towarzystwo wypłaca określoną w polisie kwotę za każdą dobę, licząc od pierwszego dnia wypadku w ciągu najwyżej 200 dni.

Jak widzimy z warunków powyższych, umowa zawarta pomiędzy Towarzystwem asekuracyjnem a przedsiębiorcą ma na względzie zawsze osobę trzecią, tj. robotnika poszwankowanego.

Do ostatnich czasów hamulcem w rozwoju asekuracyi do pewnego stopnia było to, że towarzystwa ubezpieczeń nie przyjmowały na siebie zupełnej odpowiedzialności cywilnej przedsiębiorców, którzy tym sposobem nie mogli osiągnąć celu najważniejszego: zamiany rozchodów wypadkowych na stałe, ponieważ część ryzyka spadała na nich. Towarzystwa zaś uchylały się od tego przyjęcia na siebie odpowiedzialności fabrykantów dlatego, że śród przedstawicieli sądów nie ustalił się jeszcze pogląd na wypadki nieszczęśliwe i na wynikające stąd straty materyalne. To też i wyroki sądowe nieraz ogromnie się różniły co do skali wynagrodzeń przyznawanych. Dopiero w ostatnich czasach, kiedy praktyka sądowa dała możność ustanowić mniej więcej określone normy w różnych wypadkach — towarzystwa asekuracyjne zaczęły zawierać umowy, przyjmując także na siebie odpowiedzialność cywilną wobec sądów. Przytem w umowach asekuracyjnych wyraźnie oznaczone są rozmiary wynagrodzenia, które towarzystwo obowiązuje się wypłacać robotnikom poszwankowanym, stosownie do warunków ogólnych we wszelkich wypadkach, gdy robotnicy uciekają się do sądów. W razie przeciwnym towarzystwo ponosi wszystkie wynikające z wyroków koszty przedsiębiorcy na wynagrodzenie poszkodowanych.

We wzajemnych towarzystwach ubezpieczeń stosunki pomiędzy stronami interesowanemi regulują się na zasadzie ustawy tych instytucyj. Towarzystwa w Rydze i Odesie posiadają jedną ustawę, która podobno ma być nadana wszystkim innym towarzystwom na wzajemności opartym. Zgodnie z tą ustawą, towarzystwo wypłaca wynagrodzenie za śmierć, kalectwo i wszelkie poszwankowania zdrowia robotników i oficyalistów podczas pracy w zakładach. Przytem towarzystwo wolne jest od odpowiedzialności w tych razach, jeżeli udowodni, że przyczyną nieszczęścia były: 1) działanie wyższej siły zewnętrznej lub żywiołowej, nieprzewidzianej, której nie można było zapobiedz; 2) przestępstwo osób postronnych; 3) takie rozmyślne czyny innych robotników, które nie wynikają z istoty robót w przedsiębiorstwach; 4) własna wina poszkodowanego.

Zen. Piet.

IX ZJAZD
Lekarzy i Przyrodników Polskich.

Kraków, 24 lipca.

I.

W winnicy Eskulapa.

Dziewiąty zjazd lekarzy i przyrodników zajmie w dziejach rozwoju nauki polskiej niezawodnie wybitne stanowisko. Obrady naukowe zjazdu odbywały się w 24 sekcyach *), których długa lista wskazuje, że każdy, kto chciał pracować naukowo w jakiejkolwiek gałęzi nauk przyrodniczo-lekarskich i działów im pokrewnych, znalazł miejsce i możność do przedstawienia owoców swej pracy. Tak np. po raz pierwszy dentyści polscy mogli się zebrać i omawiać kwestye naukowe i praktyczne, dotyczące ich zawodu. Wielkie też znaczenie społeczne posiada sekcya prasy lekarskiej i wychowania fizycznego.

Byłoby rzeczą wprost niemożliwą streścić w krótkiem sprawozdaniu rezultat

*) Sekcye: matematyczno-fizyczna, chemiczna mineralogii-geologii-geografii fizycznej, zoologii-anatomii porównawczej, botaniczna, przyrodniczo-rolnicza, techniczna, fotografii, farmaceutyczna, psychologiczna, anatomiczno-fizyologiczna, patologiczna, medycyny wewnętrznej łącznie z balneologią, chirurgiczna, laryngologiczna-otyatryczna, dentystyczna, chorób skórnych i wenerycznych, chorób nerwowych i umysłowych, okulistyczna, ginekologiczna, medycyny sądowej, medycyny publicznej (hygieny), weterynarska, prasy lekarskiej, wychowania fizycznego.

---

wiewy i niosły ostry zapach lian i słodki żółtych azalij. A-Pe nagle wrota zatrzasnął i zwrócił twarz ku gwiazdom, które zaglądały przychylnie do jego rodzinnego gniazda, oddzielonego obecnie od całego świata wysokim i mocnym murem.

* * *

Nazajutrz było święto. A-Pe, który wstawał pierwszy, obudził się później, niż zwykle. Słońce już weszło. Wesołe promienie jego, ukosa wpadające pod werendę, wdzierały się przez obszerne na całą ścianę okno do głównej izby domu i zalewały ją jaskrawem światłem. W głębi — w sypialnych pokoikach rodziny, zastawionych parawanami, panował jeszcze przyjemny chłód i zmrok. A-Pe obudził sługę i młodsze rodzeństwo. Wkrótce potem wysunęła się matka z sypialni, wydała ze spiżarni śniadanie, zajrzała do dzieci sprzątających główną izbę, ubierających kwiatami ołtarz rodzinny i wróciła ostrożnie do męża. Przysiadła koło niego. Chwilkę rozmawiali cicho o A-Pe, o braku pieniędzy, o niesprzedanej herbacie, o wyschnięciu od upałów wody w kanałach, o wzrastającej drożyznie ziemi... Wreszcie szepty dzieci zebranych pode drzwiami przerwały ich rozmowę. Ta-Niang odsunęła się z uśmiechem; Uang uderzył trzykroć w podłogę. Natychmiast z po za parawaniku, zasłaniającego wejście, wysunął się z jednej strony I-Po z miotełkami pod pachą i bukietem w ręku, a z drugiej wyszła Hong-Ju z miednicą gorącej wody i pływającymi w niej płatkami flaneli.

— Och, I-Po, tylko mnie nie potrąć, nie uderz mię! — wołała, posuwając się wolniutko, podczas gdy żywy chłopak wybiegł naprzód, zrobił zręcznie rodzicom Ko-teu, oddał bukiet i zaczął czyścić ich rzeczy.

— Ojcze, na dworze ślicznie, jasno i cicho, ale A-Pe mówi, że będzie gorąco, że trzeba będzie bawołu poprowadzić do rzeki, aby się wykąpał; więc może ja bym poszedł, ojcze?!..

— A co robi A-Pe?

— A-Pe był niedawno w oborce. Nie wiem, co teraz robi, gdyż długo staliśmy u twego proga...

Uang zwolna ubierał się przy pomocy dzieci w odzież odświętną; Ta-Niang zaniosła babce rzeczy, kwiaty i śniadanie.

Tymczasem A-Pe wrócił z nad kanału z pękami świeżych kwiatów, ustawił je w wazonach pod półką z tabliczkami przodków, odstąpił i mrużąc oczy od światła, przyglądał się swemu dziełu. Blask słoneczny szeroką falą przesiąkał przez papier okna, przełamywał się w cieniuchno szlifowanych muszelkach lufcików „do wyglądania." Jasny pył brylantowy, przesnuty tęczowemi smugami, barwił i złocił kwiaty, owoce, drewniane miseczki z jadłem ofiarnem, błękitne wazy, duże świeczniki cynowe i złote napisy na jaskrawo-czerwonych wstęgach papieru zawieszone na ścianie naprzeciwko okna, z obu stron półki przodków i ofiarnego stołu z czarnego drzewa. Dwie latarnie z bibułki kolorowej zwieszały się z pułapu. A-Pe wziął księgę rodzinną z tego stołu i przeniósł na inny, większy, pośrodku pokoju.

Wszedł wreszcie ojciec. A-Pe schylił się przed nim w głębokim ukłonie, poprawił warkocz i włożył atłasową czapeczkę. Wkrótce przed ołtarzem zebrała się cała rodzina, przyszedł sługa; mężczyzni rozpuścili na plecach świeżo splecione warkocze i nakryli głowy czapeczkami, kobiety młode i stare pięknie i wysoko upięły włosy ogromnemi szpilkami i ubrały je kwiatami. Zapalono w świecznikach kolorowe świece z wosku roślinnego i małe trociczki „wonności jednej godziny." Niebieskawy dym popłynął cienką wstęgą ku górze, owiał podłużne, rzeźbione z ciemnego drzewa tabliczki z imionami przodków, czerwone wstęgi papieru, jaskrawe, koliste wachlarze i złote, pionowe napisy. Uang przykląkł, pochylił się i czołem dziesięćkroć o ziemię uderzył; zebrani uczynili to samo.

Gdy następnie wstał Uang i zbliżył się do otwartej na pierwszej stronicy księgi rodzinnej, zdawał się być więcej, niż zawsze wzruszony.

— Przeszłym razem przeczytałem wam życiorys niepokalanej pamięci ojca mego a waszego dziada... My żyjemy jeszcze... Znów więc zacznę od początku księgę naszego dziedzictwa... (D. n.)

Wacław Sieroszewski.

naukowy zjazdu. Program obejmował prawie 500 odczytów! Jest to cyfra przewyższająca nawet nadzwyczaj ruchliwe zjazdy lekarzy i przyrodników niemieckich. Jeżeli porównamy mrówczą pracę i wielką wytrwałość Niemców z naszym nieznacznym aparatem naukowym — w takim razie sama ilość zapowiedzianych odczytów daje wiele do myślenia. Oczywista, że i my *możemy*, o ile *chcemy*. Jest rzeczą zrozumiałą, że wiele z zapowiedzianych odczytów „odpadło"; wielu prelegentów nie przyjechało; w niektórych sekcyach prace nie mogły być ukończone; niektóre z odczytów zostały pominięte z powodu braku czasu. Chcielibyśmy zaznaczyć, że ten ostatni powód nie powinien istnieć ze względów pedagogiczno-społecznych. Zjazdy nasze posiadają pomimo zadań czysto naukowych, cele społeczne. Mamy na myśli nietylko sprawy z dziedziny t. zw. medycyny społecznej (walka z gruźlicą, alkoholizmem itd.), lecz i ten fakt, że zjazd powszechny pobudzać winien do pracy nietylko *uczonych* zawodowych, ale i zwykłych zawodowych śmiertelników. Jest więc rzeczą niesłuszną, jeżeli z powodu braku czasu, odczyty tych właśnie szarych działaczy schodzą z porządku dziennego. IX zjazd lekarzy trwał bezwarunkowo zbyt krótko: pozostawił zapewne gorycz w sercu tych, którzy chcieli a nie zdołali zapoznać kolegów z rezultatem swych badań, często prowadzonych wśród warunków ciężkich, jaknajgorszych. W niektórych sekcyach nie wyczerpano porządku dziennego!

Główną uwagę pragnęlibyśmy zwrócić na tę część obrad zjazdowych, które dotyczyły spraw społeczno - lekarskich. Do tych zaliczamy w pierwszej linii — walkę z gruźlicą. Na pierwszem ogólnem posiedzeniu prof. Baranowski wygłosił wyczerpujący odczyt w tej sprawie. Prelegent ogłosił dobitnie *walkę z gruźlicą, jako zadanie społeczno-narodowe.* Według zdania prelegenta, opartego na wyczerpujących danych statystycznych, żadna inna niemoc nie może walczyć o lepsze z gruźlicą, ani co do liczby ofiar, jakie zabiera rok rocznie z pośród nas, ani co do długości trwania. Jest to tem więcej smutne, że *dziś, dzięki postępom nauki, gruźlica zaliczoną być winna do chorób w wielu razach wyleczyć się dających, a nawet do takich, których uleczenie jest łatwem, pod warunkiem spełnienia prostych wymagań hygieny.* Są to znamienne słowa, które powinny utkwić w pamięci filantropów społecznych. Gruźlica zabiera społeczeństwom kolosalne ofiary. I jak często, dodać musimy, umierają właśnie ludzie najszlachetniejsi, wybrani, najwznioślejszym służący ideałom! Z ogólnej śmiertelności Paryża w r. 1897, wynoszącej na 2½ miliona ludności 47,000 osób, więcej niż czwartą część (12,314) pożarła gruźlica. Na 10,000 mieszkańców w części miasta *najbogatszej* gruźlica zabrała 20, w uboższej 35, w dzielnicach *robotniczych* miasta 53, wreszcie w dzielnicach zamieszkałych przez ludność *najuboższą* — *65.* Są to cyfry wymowne. Gruźlica dziesiątkuje ludność, lecz zatacza swe koło najszerzej tam, gdzie widnieje napis: nędza. Czy filantropia wiele zdziałać jest w stanie w tej nierównej walce? Otóż zaznacza prof. Baranowski, że w Niemczech w wieku od 15 do 60 roku życia liczba osób potrzebujących leczenia z powodu gruźlicy wynosi 225—226 tysięcy, z tych około *200.000 potrzebujących bezpłatnego* pomieszczenia w sanatoryum. Urządzenie odpowiedniej ilości sanatoryów kosztowałoby około 200 mil. rubli, a roczne ich utrzymanie około 50 milionów! W Niemczech do r. 1901 zbudować miano taką liczbę sanatoryów (46), które pomieściłyby do 4 tysięcy chorych! Byłaby to nieznaczna stosunkowo liczba, gdyby nie to, że 1) w nowopowstających szpitalach będą budowane specyalne baraki dla suchotników, 2) lekarze zamierzają za pomocą rozpowszechniania, popularyzacyi wiadomości leczniczo-hygienicznych ułatwiać sposoby leczenia domowego. Prelegent zaznaczył sympatyczne dążenia Towarzystwa hygienicznego w Warszawie z dr. Daninem na czele, który dąży do utworzenia pierwszego w Królestwie Polskiem sanatoryum dla suchotników.

Oprócz odczytu prof. Baranowskiego, sprawie suchot poświęcono jedno specyalne posiedzenie, na którem omawiano przeważnie statystykę gruźlicy w Królestwie, Galicyi i W. Ks. Poznańskiem.

Oprócz tej nader ważnej sprawy zjazd poświęcił wiele uwagi innej bolączce społecznej, mianowicie zwalczaniu pijaństwa. Dr. Rychliński zaznaczył, że należy: 1) dążyć do tego, by rządy drogą zwoływanych kongresów ustaliły prawodawstwo odnośnie do pijaństwa, by nabywanie alkoholu czyniły nie dla każdego dostępnem; 2) powołać cały arsenał urządzeń społecznych, któreby miały na względzie szerzenie zasad o szkodliwości alkoholu już w młodem pokoleniu; 3) pomyśleć o założeniu u nas specyalnego zakładu dla leczenia pijaków. Zaznaczyć musimy, że walka przeciwko alkoholizmowi, prowadzona ze szczególną wytrwałością w Niemczech i w Stanach Zjednoczonych, doprowadziła poniekąd do ukrócenia pijaństwa. Sądzimy jednak, że dotyczy to klas głównie inteligentnych, w klasach niższych zbytnio przeważają złe warunki ekonomiczne i walka ta należeć będzie zapewne przez długi czas do rzędu *pia desideria!*

Szczególny nacisk kładziono na obradach sekcyi wychowania fizycznego. Mówiono tutaj o obecnym stanie nauki o wychowaniu omówiono statystykę wychowania fizycznego w Galicyi, postulaty w sprawie wychowania fizycznego i t. d. Oprócz tego prof. Jordan objaśniał w swym parku program zabaw i system wychowania fizycznego, mającego na celu kształcenie ciała i ducha.

Takimi były główne zarysy obrad, dotyczących spraw z dziedziny medycyny społecznej. Lecz i w innych sekcyach, czysto naukowych, wrzała praca prawie że gorączkowa. Rzadko spotykałem na zjazdach zagranicznych taką chęć korzystania ze zdobyczy wiedzy, jak na obecnym lekarzy i przyrodników polskich. Zdarzały się prawdziwie wzruszające, nigdzie zresztą nie widziane sceny na zebraniach towarzyskich. Oprócz tematów naukowych, wygłoszonych na posiedzeniach ogólnych (prof. Nencki— o przyszłych zadaniach chemii biologicznej i prof. Hoyer — o pojęciu przyczynowości w nauce i w praktyce), specyaliści z wszelkich gałęzi wiedzy przyrodniczo-lekarskiej korzystali z obrad sekcyj poszczególnych. W specyalnym gmachu urządzono wystawę przyrodniczo-lekarską; wywierała ona nader dodatnie wrażenie. A gdybym chciał całe powyższe sprawozdanie streścić w jednem słowie, mógłbym powtórzyć tylko za przewodniczącym zjazdu, dr. Daninem, że na tym zjeździe „nie straciliśmy czasu."

Dr. Edward Flatau.

FEJLETON.

Z CZASU.

Dyplomowani

Czytam rubrykę drobnych ogłoszeń *Kuryera:* rower w dobrym stanie sprzedam tanio; rower angielski prawie nowy okazyjnie sprzedam tanio, stróż wskaże; rower do sprzedania, cena przystępna, wiadomość u rzeźnika; rower damski, mało używany rb. 80 sprzedam; rower pneumatyk pierwszorzędnej fabryki, nowy sprzedam tanio; rower w dobrym stanie sprzedam, rb. 40; rower damski i męski tanio sprzedam; rower szosowy mało używany sprzedam, rower, pianino, skrzypce, mandolinę i dwa rondle tanio sprzedam .. i to wszystko w jednym numerze. W taki sposób cykliści reklamują swą pustkę kieszeniową. Po cóż kupowali rowery? Chcieli jeździć. Po cóż teraz sprzedają? Chcą pieniędzy. Zdarza się, że nad Pocicjowem tych drobnych ogłoszeń przeciąga stadko dyplomów uniwersyteckich i gimnazyalnych. Czytamy wówczas: otrzymali patenty dojrzałości w mieście N. następujący uczniowie; albo: w bieżącym roku akademickim ukończyli wydział lekarski panowie... itd.: albo jeszcze: doktór Pragniewski powrócił, adwokat Obozierski dla wielu spraw nie wyjedzie w tym roku wcale: lekarz Rospaczkiewicz wyjechał na prowincyę. W ten sposób młodzież i ludzie starsi reklamują swe dyplomy, nabyte pod hasłem nauki. Nikt z nas nie posądzi cyklistów o propagandę jazdy na rowerze, nie łudźmy się też, że ogłoszenia ludzi dyplomowanych dają obraz naszego pogotowia naukowego. Oni także chcą pieniędzy. Tę dążność pod pewnym względem wyrabia w nich Warszawa. Ona stanowi w kraju punkt podtrzymujący pewną stałą temperaturę oświaty, do niej więc ciągną jednostki z dyplomami gimnazyalnemi, a ona jak punkt wrzący rozpędza je po kraju, przetapiając dojrzałość sztuczną na przejrzałość przedwczesną. W tym ruchu młodzież nasza robi wrażenie opakowanych kloszów, które jeden pociąg towarowy oddaje drugiemu. Zawsze wiemy, dokąd jadą, ale nigdy nie jesteśmy pewni, czy są całe. Dopiero przy odbiorze towaru na dziesięć pakunków z dziewięciu sypią się skorupy. Za te młodociane skorupy, źle wysyłane, źle na rozmaitych stacyach przyjmowane, społeczeństwo musi płacić ogromne odszkodowania. A płaci dlatego, że wskutek małej ilości dobrze zachowanych kloszów musi ono rozmaite kąty zapychać skorupami. Dlaczego tak się dzieje? Z wielu przyczyn takiego stanu rzeczy jedna, bardzo doniosła, tkwi w samej Warszawie. Oto tak zwana młodzież dojrzała przyjeżdża tu poznawać nie życie lecz Warszawę, wyjeżdża zaś na prowincyę poznawszy znowu nie życie, lecz Warszawę. Tak więc ona zaopatruje kraj nie w pracowników, lecz w Warszawiaków. Gdybyśmy wszystkie nasze drogi pierwszego, drugiego i trzeciego rzędu wyłożyli drewnianym brukiem, zrobiliby oni nietyle dla kraju, ile po kraju wiele dziesiątków mil w dorożkach z gumowemi obręczami. Doprawdy, warszawski dorożkarz pierwszej klasy, zręcznie przygarbiony na koźle, w pozycyi człowieka wypatrującego celu dla swego pana, któremu nogi miękką derą okrył, stanowi symbol zwyrodniałej energii, która udziela się biednym szkapom roztańczonym pod batem do jakiegoś nerwowego kłusa. Warszawa podcina społeczeństwo nasze do takiego kłusa, a młodzież dyplomowana uczy go się najprędzej.

Są to najgorliwsi ajenci cywilizacyi warszawskiej, należy więc starać się o to, ażeby kraju nie plamili, jak wypuszczone z kałamarza muchy. Można nie pomnażać ich szeregów nawoływaniem do wiedzy patentowanej, lecz należy się liczyć z tymi, którzy są, mieć dla nich coś więcej prócz sukna i galonów, gdyż całe tomy poradnika dla samouków nie ubłagają przyszłości, ażeby zapomniała o szeregach zdemoralizowanej młodzieży. Inteligencya warszawska wita ich życzliwie, lecz nie hamuje wobec nich swego geszefciarstwa. Dużo się u nas mówi o przemożnem znaczeniu pracy, ale tej, która się kiedyś

skończyć musi miłym odpoczynkiem. Praca więc przybrała w tych warunkach cechy czynnika ratunkowego, gdyż nagromadzony pieniądz, jako środek balsamiczny, wkracza z całą bezwzględnością we wszystkie stosunki i prócz zbawiennego swego wpływu, bałamuci opinię. Adwokat, lekarz, inżenier, literat nawet wzbudzają zaufanie wówczas, jeżeli oprócz wielu cnót posiadają gotówkę. Wytworzyła się nowa postać grosza nie ukochanego, nie upragnionego, lecz tego, który daje niezależność. Kto kruszec w tej nowej odmianie posiada, ten ma szanse w walce życiowej. Nie chodzi mi bynajmniej o to, ażeby zmniejszać doniosłość pieniędzy, gdyż daremnie i niepotrzebnie bym się o to kusił; lecz chcę zaznaczyć, że takie dyskontowanie niezależności, osłabia energię tych jednostek, które nie jeszcze nie posiadają. Wobec takiej, bronionej przez opinię, przewagi grosza energia czynu przeistacza się na zwykły apetyt. Dzięki temu młodzież traci swój wpływ rzeźwiący, przeciwnie, cała przesiąka sprytem dorobkowiczowskim. Dzieli się ona obecnie w Warszawie na dwa odłamy: ludzi zdolnych i niezdolnych. Za zdolnego uważanym jest ten, który chce i umie między ludźmi zręcznie się obracać, no i coś nie coś gotówki posiada. Obrotność, zręczność, gładkość i renta — oto niezbędna oprawa tego klejnotu, który się zwie pracą, a który bez tej oprawy w rękę ująć się nie da.

Dzięki takiej opinii Warszawa nadzwyczaj umiejętnie asymiluje odpowiednie żywioły z pośród młodzieży prowincyonalnej, a resztę odtrąca. Taka opinia, jeżeli z nią walczyć nie będziemy, sprawi to, że Warszawa pochłaniać będzie i znieprawiać najzdolniejsze jednostki, a prowincya — zadawalać się miernotą, robiąc owacye zgorzkniałym ex - warszawskim szermierzom karyery. Tymczasem każdy zakątek kraju ludzi potrzebuje, a zabawa w miniaturowy Paryż jest dla naszego społeczeństwa zbytkiem nad siły.

Więc te spragnione gromadki, dążące z prowincyi do Warszawy, należy odpowiednio przyjąć: nie zapychajmy tymi ludźmi rautów, balów publicznych, wieczorków prywatnych. Warszawskie panny będą miały o tyle mądrzejszych mężów, o ile mniej walców z nimi przetańczą. Posagi tych panien będą o tyle pewniejsze i lepiej zużyte, im więcej książek młodzież w Warszawie przeczyta. Więc nie oprowadzajmy przyjezdnych po knajpach, nie wtajemniczajmy ich w sekrety tego anarchizmu, którego symbolem jest bomba pilznera, lecz gromadźmy dla nich jak najwięcej środków do przyszłej pracy całego życia. Niech oni tu nabiorą przekonania, że ręce próżnujące otwierają sobie drogę do raju tylko dzięki nadużyciom, niech uwierzą, że nie pieniądz, lecz praca zapewnia ludzkie trwanie. Niech tu na tym ożywionym rynku nie znajdzie zbytu towar młodocianego wdzięku, a naiwność i szczerość młodzieńcza niech się bezkarnie i bezpiecznie przesączy przez grube pokłady wielkomiejskich interesów. Społeczeństwu, jak i ziemi, należy zwrócić to, co się wzięło, gdyż w przeciwnym razie grozi mu wyjałowienie.

Nie eksploatujmy więc młodości tych ptaków przelotnych, gdyż one to właśnie mają prawo nas z pożytkiem wyzyskać. Tym młodym naturom nigdy dość nie damy, ale zawsze możemy je nieoględnością z energii i prawości ogołocić.

Trzymajmyż się ściśle głoszonych i pisanych haseł, które łatwowierny cudzoziemiec mógłby uważać za nasze prawo zwyczajowe. Student, wołamy, jest istotą, której jedyną funkcyą jest jej przeznaczenie. Z tej istoty jednak robimy młodszą pokojówkę „do wszystkiego,“ a młodzież w tej atmosferze, rzeczywiście, jak prawdziwa pokojówka, nie wie, co jutro robić będzie. Warszawa nie ma prawa używać młodzieży naszej do swych rachunków zabaw. Życie towarzyskie, postawione jako program wychowawczy, tyle młodym umysłom pomoże, co pierś pensyonarki niemowlęciu.

Tadeusz Ulanowski.

PAMIĘTNIK

Toujours des perdrix!

(Jeszcze kolej Wiedeńska).

Niema jakoś szczęścia zarząd kolei Wiedeńskiej. Osaczono go ze wszystkich stron; oskarżyciele nie żałują ani batów, ani harpuna, ani powrozów. Gdybyśmy żyli w wiekach średnich, zażądanoby powszechnej względem tych panów niesławy, pręgierza. Powstali wszyscy: nietylko poszkodowani, nietylko rodziny poszkodowanych i zainteresowanych, ale i jaknajdalsze ich odrostki; nietylko prasa. Oto w *Kuryerze warszawskim* odezwał się jeden z wybitniejszych finansistów warszawskich, Julian Wieniawski (Jordan) i poddał działalność tej instytucyi krytyce rozumnej i surowej. Uważając ten szczególniej głos za nader znamienny, podajemy kilka najbardziej charakterystycznych ustępów.

„Dziwnem zdawać się może każdemu, choćby najmniej ze sprawami kolejowemi oznajomionemu, że wydział służby ruchu, tej właśnie służby, która w rękach swych dzierży życie i mienie setek tysięcy ludzi, jest wogóle na kolejach, a więc i na Wiedeńskiej, najgorzej materyalnie uposażony i najmniej starannie obsadzony. Aczkolwiek płace i w innych jej wydziałach nie grzeszą rozrzutnością, bo ta zmniejszałaby wysokie dywidendy akcyonaryuszów, a w ślad za tem i tantyemy, wszelako te płace nazwać się jeszcze mogą sutemi w porównaniu z uposażeniem służby ruchu, której praca wyczerpująca, przy słabszych kwalifikacyach intelektualnych, podołać nieraz ciężkim a tak odpowiedzialnym obowiązkom nie jest w możności. Dalej, jeżeli w wydziałach kotroli, rachuby i kasowości wszelkie rachunki, dokonane przez jednego urzędnika, sprawdzane być muszą przez drugiego, aby uniknąć omyłki i możliwej straty pieniężnej, to czyż nie jest konieczne, aby nastawianie zwrotnic, sygnalizowanie puszczać się mających pociągów, choćby za pomocą aparatu (mogącego zepsuć się w jednej chwili), podlegały *obowiązkowo* również starannemu sprawdzaniu. W pierwszym razie idzie o ruble i kopiejki, w drugim — o życie tysięcy ludzi!“

Kończy zaś p. W. swoje *in quos* w następujący sposób:

„Oby teraz przynajmniej ofiary w ludziach zasłużonych społeczeństwu, oby nieszczęścia, dotykające kilkanaście rodzin, skłoniły władze naczelne kolei Wiedeńskiej do trafniejszego doboru służby ruchu, do lepszego jej uposażenia i wymagania lepszych kwalifikacyj, do wzmocnienia dozoru i kontroli nad ludźmi i aparatami, słowem, do zarządzenia i podania do wiadomości publicznej tych wszystkich środków, któreby strasznym katastrofom zapobiedz mogły, a równocześnie uspakajając opinię ogółu, były dla niego rękojmią, że kolej Wiedeńska stoi na wysokości tych zadań społecznych, do jakich z natury swoj i z obecnego rozwoju jest względem kraju zobowiązana.“

Tyle w zakresie dyagnozy i terapii samego wypadku kolejowego. Jak jednak często w dziedzinie chorób właściwych, fizycznych, okazuje się przy dokładnem badaniu i rozpoznaniu, że prócz właściwego ogniska choroby, trapiącej pacyenta, działają inne jeszcze, tymczasowo nie tak bardzo dokuczliwe, acz niemniej ważne i w przyszłości niemniej groźne, tak i tutaj. W kilka dni po wypadku naczelny lekarz kolei Wiedeńskiej, dr. Markiewicz, zwrócił uwagę na wątpliwej wartości organizacyę pomocy lekarskiej na kolei Wiedeńskiej. „Służba lekarska kolejowa na drodze Wiedeńskiej — czytamy w liście ogłoszonym w *Kuryerze codz.* — nie ma organizacyi Pogotowia, nie ma stacyi stałej ze stale dyżurującymi lekarzami, felczerami, infirmierami i, coby koniecznem było, ze stale przygotowanym do jazdy dniem i nocą pociągiem ratunkowym. Dlatego służba lekarska nigdy nie może i nigdy na żadnej na świecie kolei nie niesie pomocy w nagłym wypadku z taką szybkością, z jaką to robi Pogotowie, które czeka na wypadek i, w kilka minut po zawiadomieniu telefonicznem, z personelem właściwym i z potrzebnymi środkami rusza z miejsca.“

Z tej skargi zacnego hygienisty z żelazną konsekwencyą wypływa jedno: konieczność utworzenia pogotowia ratunkowego na kolejach jest niezbitą. Myśl tę podjął *Kuryer warsz.*, osłabił atoli w wywodach swoich przypuszczeniem, że organizacya pogotowia kolejowego, jako wymagająca zbyt wielkich nakładów, nie da się urzeczywistnić i ostatecznie projektuje: „Rozszerzyć działalność Pogotowia warszawskiego na linie kolejowe. Jest to tylko rzecz układu kolei, zbiegających się w Warszawie, z tą instytucyą. Nasze towarzystwo ratunkowe, tak dzielnie się rozwijające, podoła temu doskonale, jeśli przy zapomogach kolejowych powiększy swój skład i jeśli koleje nie zaniedbają odpowiednich urządzeń. W ten tylko sposób, tani a skuteczny, rozwinąć można sprawę pogotowia kolejowego. Istniałoby ono równolegle do dawnych wydziałów lekarskich, mających za zadanie opiekę codzienną nad służbą kolejową. Ta stała pomoc lekarska ma wiele do roboty w czasie pokojowym. Do katastrof trzeba pogotowia niejako na stopie wojennej, odmiennie zorganizowanego.“

Pomysł ten nie wydaje nam się szczęśliwym, ani w praktycznem zastosowaniu łatwo wykonalnym. Przeciwnie, domagamy się usilnie, nad wszelki wyraz usilnie, aby bogata kolej na własny rachunek zorganizowała pomoc odpowiednią na całej linii. „Pogotowie“ stworzyła sobie Warszawa i ma ono kolosalne pole pracy przed sobą wobec potrzeb coraz bardziej rozwijającego się miasta. Przy najlepszych chęciach wobec katastrofy kolejowej mogłoby ono wcale nie być w stanie stanąć do pomocy, o ile przypadkowo zajętem byłoby w mieście. Zresztą katastrofy mogą się zdarzać nie na trzeciej, ale na trzydziestej i trzechsetnej wiorście od Warszawy. A wtedy? Jeśli straż ogniowa w Warszawie liczy nie jeden, a pięć oddziałów, to i pogotowie musi się zróżniczkować na miejskie, podmiejskie, kolejowe itp. Kolej Wiedeńska zużytkowuje siły 30,000 ludzi w ogólnej liczbie na wszystkich wydziałach. Pomyślcć tylko, wszak to całe miasto gubernialne! I taki organizm nie miałby zdobyć się na własną instytucyę, której pożytek i konieczność stwierdzonemi zostały powszechnie? Odrzućcie tedy wszelkie chybione związki „morganatyczne“ z Pogotowiem warszawskiem. Zakładajcie swoje: niechaj będzie jeden oddział w Warszawie, drugi w Koluszkach, trzeci w Aleksandrowie, czwarty w Dąbrowie. Zobaczycie, że za waszym przykładem pójdzie kolej Łódzka, Petersburska, pójdą koleje Nadwiślańskie. Taka inicyatywa tylko przy pierwszym kroku kosztuje jakieś marne kilkanaście tysięcy rubli, potem daje pewne zyski: zadowolenie płynące ze spełnionego obowiązku, nasycenie ambicyi, sławę, może nieśmiertelność! Jeszcze wam mało, męże „czcigodni!

Pokątni doradcy.

Przed kilku miesiącami w artykule „Etyka obrończa i jej sprawy,“ zastanawialiśmy się bardzo obszernie nad wrzodem trapiącym ludność wiejską i małomiasteczkową, nad tyle osławioną kwestyą pokątnego doradztwa. Powiedzieliśmy, że istnieć ono przestanie wtedy, kiedy zapragną tego przedstawiciele prawdziwego, uczciwego, dyplomowanego doradztwa sądowego. Obecnie wraca do tejże sprawy *Kuryer Codzienny*, który pisze: „Najbardziej doradztwo pokątne rozpowszechniło się w gub. Lubelskiej i Płockiej, gdzie nieznany dawniej typ takich „pająków“ rozwinął swe operacye bezkarnie na szeroką skalę. W niektórych miastach doszło do tego, *że wiele spraw otrzymują adwokaci przysięgli nie bezpośrednio od klienta, lecz od pokątnego doradcy*, który każe sobie płacić odpowiedni haracz od sprawy, gdyż inaczej grozi odmówieniem klientów i skierowaniem ich do innego adwokata, który haracz zapłaci. Wielu adwokatów nie chce przyjmować od nich spraw, *lecz zawsze znajdują się tacy, którzy spełnią ich życzenia.* Jaką szkodę przynosi pokątne doradztwo, tego dowodzić nie potrzebujemy, gdyż bolącą ta sprawa dawno już została dostatecznie przedstawioną przez pióra fachowców. Niektóre sądy same przedsiębiorą środki w celu ukrócenia obliczonej na wyzysk działalności tych istnych „ptaków niebieskich.“ Czytamy np. w gazecie *Wołyń*, że do wytępienia pokątnych doradców zabrał się energicznie prezes sądu okręgowego w Żytomierzu, który wzbronił im wstępu do gmachu sądowego. I u nas czas byłby wielki do wytępienia plagi, jaką stało się doradztwo pokątne na prowincyi, a w tym celu powinni łącznie wystąpić sądy i adwokaci.“ Niechże inicyatywa wyjdzie od ostatnich.

Parki ludowe.

„Zakładajcie ogrody po miastach! Jeżeli nie kochacie kwiatów ani drzew, jeżeli tej miłości nie rozumiecie, to pamiętajcie o zdrowiu własnem, o życiu dzieci. Kochany filistrze! nietylko „czas to pieniądz,“ ale i *health is money!*“ To wszystko są komunały, nieprawdaż? A czemuż, przez litość, bezustannie je powtarzać trzeba? Za granicą wszędzie zakładają ogrody, parki, skwery, place do zabaw dla dzieci itp. Miasta zakupują domy, znoszą całe dzielnice, i stwarzają rezerwuary ozonu, owego „eliksiru życia,“ którego daremnie szukali alchemicy. Tylko my milczymy i to tak nawet uporczywie, bezmyślnie, że zapadła prowincya gotowa nas zawstydzić. Oto czytamy, że w Zawierciu, w osadzie fabrycznej, „grono osób utworzyło spółkę udziałową i zakupiło 10 morgów gruntu, celem założenia ogrodu spacerowego, mogącego służyć równocześnie za miejsce do zabaw ludowych. Udziałowcy złożyli na ten cel 15,000 rb. i jeszcze w r. b. przystępują do oparkanienia nabytej przestrzeni.“

Wprawdzie nie „robimy w placach,“ jak dawniej mówiono w operetce, a dziś w całej niemal Warszawie, ale wiemy, że skończyły się złote chwile Aranjuezu dla wszelakiej spekulacyi budowlanej. Cena placów spadła dziś w porównaniu z rokiem zeszłym o 100 i 200 aż do 1,000%. Jest tedy chwila odpowiednia dla zakupu większych przestrzeni. Jeżeli miasto nie jest w stanie zdobyć się na taką inicyatywę, niechaj uczynią to nasi filantropi. Możni świata tego, pogromcy fortuny, argonauci nowocześni, wy wszyscy, którzyście na loteryi życia nie jeden, a dwa i więcej losów wielkich zdobyli — do was, mości panowie zwraca się za mojem uniżonem pośrednictwem dziecko suteryn warszawskich! Wy, coście umieli dziesiątki tysięcy wiorst kolei żelaznych poprzez puszcze i góry budować, kanały między morzami wycinać, a przedewszystkiem Mammona ujarzmić i do wozów swoich zaprządz — rozepnijcie nad miastem, które wam życie dało, wielki tęczowy parasol zdrowego powietrza.

BADANIA NAUKOWE.

Z PRZESZŁOŚCI PRZEDHISTORYCZNEJ.

III.

Typ blondynowy.— Jego rodowód i pra-siedziby — Ziemia Lathama. — Pejzaż pierwotny. — Pierwsze wędrówki blondynów.

W Europie środkowej i północnej spotykamy dzisiaj liczne typy blondynów. Jeden z nich, posiadający długą budowę czaszki, uchodzi powszechnie za typ pierwotny — w tem znaczeniu. iż wśród tegoczesnego zaludnienia naszej części świata przedstawia żywioł zasadniczy, przekształcający się pod wpływem warunków bytu, ale samodzielny i wyraźnie wyodrębniony. Inni, różnego rodzaju krótkogłowcy, tak liczni w naszym kraju, w Saksonii, Alzacyi, są uważani za produkt skrzyżowania długogłowca blondyna z typami, odznaczającymi się krótką budową czaszki. Lapouge w ostatniej swej pracy zrywa radykalnie z tym poglądem, oświadczając, że jasnego krótkogłowca należy uważać za rezultat samodzielnego przetwarzania się typów brachycefalicznych, ciemnookich i ciemnowłosych pod działaniem klimatu. Te same czynniki, które wpływami swymi dały początek długogłowemu blondynowi, stworzyły zgoła niezależnie, choć w obrębie tego samego obszaru klimatycznego, i jasną odmianę, a raczej odmiany krótkogłowca.

Nastręcza się pytanie o rodowodzie blondyna długogłowego, oraz o jego prasiedzibach.

Co do jego rodowodów, tj. związku z rasami Europy przedhistorycznej, istnieją wskazówki, pozwalające uważać dolichecefalicznego blondyna za dalsze ogniwo rozwojowe szczepów, które zaludniały naszą część świata w okresach lodowcowych. Typ długogłowy istnieje w niej bowiem od czasów najdawniejszych, z których posiadamy jakikolwiek materyał faktyczny. Wprawdzie, w potoku tysiącoleci, nie zachowuje on jednostajnego charakteru, owszem przekształca się i wydaje z siebie mnóstwo odmian, ale pomiędzy niemi daje się spostrzedz pewne powinowactwo ogólne, na mocy którego jesteśmy upoważnieni mniemać, iż są one w różnym stopniu krewniakami. Najstarożytniejsze ze znanych szczątków pochodzą z drugiego okresu międzylodowcowego. Są to dwa zęby, budową swoją świadczące o silnym rozwoju szczęki, ale co do kształtów czaszki nie mamy żadnych danych. Z epoki mamuta posiadamy już liczniejsze szczątki, bo nawet całe szkielety (znalezione w Spy). Rasa ówczesna była niskiego wzrostu, takiego jak dzisiejsi Lapończycy, miała dużą głowę, krótkie członki, zwłaszcza górne, czaszkę podłużną, czoło silnie w tył podane z wydatnymi łukami nadocznymi, nieznaczną pojemność jamy czaszkowej. Typ ten nazwano człowiekiem neanderthaleńskim. A więc najdawniejsze ze znanych kształtów czaszki są długie. Wówczas, gdy co do krótkogłowców rozporządzamy bardzo nielicznemi szczątkami kopalnemi z okresów nieco wcześniejszych, a sama ich filiacya jest niepewna, natomiast długoglowcy, pochodzący z jaknajodleglejszej epoki, z której posiadamy dane osteologiczne, następują po sobie nieprzerwanym łańcuchem. Z pewnem prawdopodobieństwem można przypuszczać, iż z rasy neanderthaleńskiej wychodzi *Homo priscus*, oraz że ten ostatni rozgałęzia się na liczne szczepy, słynące jako jaskiniowiec, śródziemnomorzec, wreszcie europejczyk (a właściwie blondyn długogłowy). W dzisiejszym stanie wiedzy antropologicznej trudno powiedzieć cokolwiek stanowczego o ich stosunku wzajemnym, jako też o powinowactwie długogłowców Europy przedhistorycznej z murzynami dolichocefalicznymi, ale przypuszczenie, że wszystkie one są ogniwami, rozwijającemi się z tego samego zasadniczego pnia pod działaniem otoczenia klimatycznego i może doborów estetycznych bynajmniej nie jest pozbawione słuszności.

Ale murzyn afrykański oraz typy śródziemnomorskie posiadają czarną lub ciemną cerę; nawet członek szczepu eskimoskiego, którego wielu, a w tej liczbie Lapouge, usiłuje związać z długogłowcem Europy przedhistorycznej, także nie ma białej barwy skóry. I wszystkie znane gatunki małp człekokształtnych, jako też całego rzędu czwororęcznych są ciemne. Jasną barwę skóry, oka i włosów w świecie ssaków należy raczej uważać za wyjątkową, a nawet patologiczną, wynikającą z ubożenia organizmu pod względem pigmentacyi. Jeżeli więc kształty czaszki zachowały w ciągu tysięcy, a nawet dziesiątków tysięcy lat ogólny swój charakter, to przeciwnie trzeba przypuścić, iż obfitość pigmantacyi uległa zmianie pod wpływem warunków w najwyższym stopniu niekorzystnych dla organizmu, takich samych, jakie sprawiają, iż rośliny, pozbawione słońca, tracą zieloność, a zamknięci ludzie rumieniec, tu i owdzie zaś rodzą się tak zwane okazy albinoskie. „Cała morfologia *Hominis europaei* (tj. długogłowego blondyna), jego konstytucya limfatyczna, ogólne ubóstwo barwnika, świadczą o tem, iż przedstawia on wytwór na pół ewolucyi chorobliwej, dzięki której ten Albinos powstał z typu normalnego. Ewolucya ta każe przypuszczać, iż przodkowie tej rasy przebywali długo w okolicy wilgotnej, nieznającej wielkich odchyleń temperatury, pod niebem pochmurnom, zatrzymującem promienie chemiczne.“ Niewątpliwie, proces ów powstania względnego Albinosa odbył się gdzieś w Europie. Rodzi się więc pytanie, w jakim punkcie naszej części świata miało to miejsce, chociaż dzisiaj nie znajdujemy w niej warunków odpowiednich. Lapouge w tym względzie stawia nową teoryę, która zresztą bardziej należy do liczby fantazyj naukowych, niż przypuszczeń, posiadających na swoje poparcie coś więcej nad wyobraźnię twórcy. Zresztą mylimy się: teorya ta nie zupełnie jest nową, bo przed wielu laty pokrewną hypotezę wygłosił antropolog angielski Latham.

Przyjrzyjmy się jej zblizka.

Prasiedzibą blondynów mają być okolice wybrzeżne morza Północnego, zresztą w epokach pleistocenicznych rozpościerająca się bardziej na północ od Anglii do Skandynawii, uposażona obficie w bagniska, wystawiona bezpośrednio na wpływy Gulf-streamu a zarazem na wiatry północne, pokryta mgłami, obficie skrapiana ongi deszczami. Kraj to był niezdecydowanej natury, jak Holandya dawnych Fryzów — pół morze, pół ziemia. Dzisiaj w większej części swojej spoczywa pod wodami morza północnego. Lapouge udziela mu nazwy „kraju Lathama“ i mieści w nim praojczyznę blondynów, bo znajdujemy tam warunki, niezbędne dla wytworzenia tej rasy względnie albinoskiej.

„Nie trzeba zbyt wielkiego wysiłku wyobraźni — pisze Lapouge — dla odbudowania warunków bytu proto-arjów. Na tych rozległych przestrzeniach, pokrajanych przez błota i laguny, jednostajnych, niedających żadnego przyrodzonego schronienia, życie było monotonne i smutne,

ale bynajmniej nie ciężkie. Grunty, wilgotne powszechnie, dwa razy dziennie zalewane na obszarze olbrzymim, były pokryte obfitemi łąkami. Dawały one byt nieskończonym trzodom roślinożernych, otwarte wody dostarczały mięczaków, zwierzyny musiało tam być pod dostatkiem; wody, szczodrze uposażone w ryby, nadawały się do łatwego rybołówstwa. Byt materyalny był lekki, a utrzymanie—dostateczne dla licznego zaludnienia. Mglista, ale niechłodna zima nie przeszkadzała myślistwu i połowowi ryb, zwierzęta roślinożerne znajdowały pokarm nawet w najgorszych porach roku, bezsłoneczne lato nie wypalało preryi.

„Życie moralne proto-aryów było jednostajnem i smętnem, jak przyroda, wśród której przebywali. Zamglony widnokrąg obejmował je ciasną obręczą; niebo było niskie, pokryte ołowianemi chmurami, przez które promień słoneczny rzadko torował sobie drogę; półmrok, stworzony przez obłoki w górze, a mgły w dole, rozpraszał pochyło światło; deszcz, miękki i subtelny, ale chłoszczący, nie powracał; zimny wiatr północny, wilgotny ale potężny, pomiatał stepem — słowem otoczenie całe, pełne melancholii harmonijnej, urabiało umysł proto-aryjczyka, tak samo jak nadmiar wód i niedostatek światła oddziaływały na jego ciało.

„Łatwo zrozumieć, w jaki sposób człowiek znosił ten klimat. Chociaż stepy kraju Lathama były szczodrze uposażone w pokarm, przecież zaludnienie jego pierwotne musiało być bardzo rzadkie, a twardy dobór w ciągu tysięcy lat dziesiątkował synów przybyszów. Każda jednostka żywa, wesoła, zakochana w słońcu i życiu, bywała rugowaną. Wśród tej obfitej, ale jednostajnej i nieskończenie smutnej przyrody tylko ci mogli wyżyć, którzy z odpornym temperamentem przynosili na świat spokojne i melancholijne usposobienie ducha, niewyczerpaną, acz łagodną energię.

„W ten sposób powstała rasa rybaków, myśliwców, żeglarzy, pasterzy, silna ale lymfatyczna, inteligentna lecz smutna, energiczna, chociaż chłodna, rasa, która wzrastając w ciągu stuleci wreszcie uwydatniła swoje cechy charakterystyczne i zamieniła się na Arjów najdalszej starożytności.

„Rasa ta zwolna rozszerzała się wzdłuż i wszerz wielkiej równiny północnej, w okolicach Bałtyku, w wielkich lasach Galli, Germanii i Skandynawii, mieszając się z krewniaczymi żywiołami, które wytworzone w tych strefach świeżych, wilgotnych, pochmurnych, nie powinny były odróżniać się zbytnio od niej właściwościami ciała i wyszły z tego samego pnia. Z wielkich kniej cienistych Europy środkowej, od Atlantyku do morza Czarnego, wydostaną się w przyszłości zagony aryjskie, idące na podbój ciepła, światła, słowem tego wszystkiego, na czem im zbywało w ich surowem a jednostajnem dzieciństwie, a za pierwszymi zagonami nastąpią dalsze."

Taką jest przeszłość blondynów według Lapouge'a. Są oni, jego zdaniem, rasą, wśród której poczęła się mowa pra-aryjska. Zrodzeni pod wilgotnem a smutnem niebem zatopionych płaszczyzn morza Północnego, będą oni parli na południe, wabiące ich swymi powabami. Wychodźcy będą stąd udawali się w różnych kierunkach, ale zawsze tam, gdzie niebo jest jaśniejsze i słoneczniejsze, przyczem do wędrówek przyczynią się dużo i względy, niezależne od woli ludzkiej, a mianowicie zatopienie powolne ich pra-ojczyzny przez wody morskie. Odłamy wcześniejsze przedostaną się Indyj Przedgangesowych i Iranu; do Afryki północnej, gdzie dadzą początek ludom libyjskim i może częściowo wsiąkną w ludność Egiptu starożytnego; do Palestyny, gdzie zetrą się z koczowniczemi pokoleniami synów Izraela i wchłonięte przez nich pozostaną w tamtejszym jasnym typie. Późniejsze—wydadzą owe „ludy morskie,“ żyjące z rozboju morskiego a zakładające Grecyę, rozpierzchłe w różnych punktach Śródziemnomorza. I Latynowie pierwotni wtargną do dawnej Italii nie lądem, w charakterze pasterzy-koczowników, jak powszechnie przyjmowano dotychczas, lecz dostaną się za pośrednictwem morza, z Galii, jako korsarze. A po tych zagonach przyjdą jeszcze inne, znane nam już z pomników historycznych. Blondyn będzie w tych falach wychodźczych przodującym żywiołem i — ilościowo i co do spełnianej tam roli.

Szkicujemy tylko tą przyszłość dziejową proto-aryjczyków, powstających w kraju Lathama. Może powrócimy do niej w innym szeregu artykułów, w którym zatrzymamy się specyalnie nad rolą ich w powstaniu ludów i cywilizacyj historycznych. Na dzisiaj poprzestaliśmy na przedstawieniu ich początków, oraz stosunku do innych ras naszej części świata w obrębie czasów pleistocenicznych.

NOTATKI NAUKOWE.

— Świeżo wydana książka Augustyna Blanchet: *Essai sur l'histoire du papier et de sa fabrication* (Paryż, 1900) traktuje o powstaniu i rozpowszechnieniu papieru oraz o postępach jego fabrykacyi. Początków papieru szukać należy w chińskiej karcie bambusowej, na której czerwonem, a więc rozgrzanem żelazem przepalano ideograficzne figury mowy chińskiej: aby takowe trwalszemi uczynić, drukowano je na jedwabiu. Mniej więcej w sto lat po Nar. Chr., urzędnik dworski, Isai-Loun, wynalazł właściwy papier — mieszaninę kory drzewnej, szmat, włókien roślinnych i nici konopnych; wynalazca doszedł do najwyższych stanowisk w państwie, a po śmierci oddano mu boską cześć. Przez Koreę dostał się papier do Japonii: 593 r. ulepszył go mędrzec Doncho, wkrótce potem książę Shotoku przez zastosowanie kory drzewa morwowego i konopi. W r. 806—807 państwo założyło własne fabryki, gdzie wyrabiano pięć gatunków papieru.

Na Zachód wynalazek chiński przedostał się za pośrednictwem Arabów. Autor opiera się tu na doskonałej pracy J. Karabacek'a o papierze arabskim. Dzięki Almohadom dostała się sztuka do Fezu, Marokka i Hiszpanii, gdzie w Walencyi w miasteczku Xativa (Szatiba) wzniesiono pierwszą papiernię. W XIV w. zaczynają wyrabiać papier we Włoszech; pierwsza papiernia niemiecka założona została 1390 r. w Gleismühl pod Norymbergą; w Szwajcaryi znajdujemy fabrykę papieru w r. 1411 pod Fryburgiem; w Anglii Tate wystawił pierwszą papiernię w Stevenage w Herfordshire w r. 1494, do Austryi sprowadził Karol IV „papierników“ z Włoch, którzy w r. 1370 wybudowali fabrykę w Eger; w XVI w. powstaje w Czechach szereg fabryk, które zniosła trzydziestoletnia wojna. Już w XVII stuleciu przedostaje się przemysł papierniczy do Holandyi i do wschodnich dzielnic Europy. (*Stef.*).

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA SZWEDZKA.

AUGUST STRINDBERG.

Dramaty: *Klucze królestwa niebieskiego; Przed sądem wyższym; Szał.*

II.

Przed „Infernem“ pławił się duch Strindberga w bolesnej rozkoszy poznania. Biczem poznania smagał niélitościwie siebie i ludzi — do łez, do krwi. Cała jego twórczość do r. 1898 — to jeden przeraźliwy zgrzyt sarkazmu, zgrzyt, którym stara się zgłuszyć najsłabsze nawet odgłosy złudnych szmerów szczęścia, jakie ze świata karłów dojść by mogły do jego wyniosłej pustelni. Jest, jak ów ślusarz. Ani na chwilę nie uśmiecha mu się myśl, że możnaby to marne plemię ludzkie zmienić, poprawić. Niema w nim apostolskiego żaru Tolstoja lub Ibsena. Nie jest moralistą, a tylko sarkastą; niema w nim współczucia — jest tylko niesmak. Nie przeciwstawia dobra złemu, nie zabawia się nawet analizą tych pojęć. Nie zna zła — zna podłość, którą chrzci kolejno różnemi nazwami. Marność, płaskość, kłamstwo, głupota, tchórzliwość, hipokryzya — oto liczne imiona tej samej zawsze podłości. Gdyby go w czasie do roku 1898 zapytano, co to jest dusza ludzka, odpowiedziałby prawdopodobnie, że jest to promieniejąca w kolorach tęczy — podłość. Cóż więc dziwnego, że dla duszy w ten sposób widzianej, nie miał miłosierdzia. Miał dla niej tylko wstręt.

Nie mógł tedy żyć ze społeczeństwem, w łonie społeczeństwa. Nie było w nim instynktów społecznych, których podwaliną jest miłość. Że zaś, jak powiada Feuerbach, prototypem uczuć społecznych jest wzajemny stosunek płci, więc u antispołecznego Strindberga uczucia gatunkowe wogóle musiały być zakłócone u źródła. Nienawidzi społeczeństwa, więc nienawidzi też kobiety. Jeśli dusza ludzka jest podła, dusza kobiety w jego rozumieniu urąga nawet nazwie podłości. Z kobietą prowadzi najzaciętszą, najkrwawszą walkę. Chwilami pieni się, zaciska na nią pięści i zdaje się ją wyzywać na bój ostateczny, wołając niemal: „Albo ja — albo ty!“ I mniema, że istotą stosunku kobiety do mężczyzny jest taka właśnie walka, taka głucha zacięta nienawiść, w której zwycięża — silniejszy. Cóż więc dziwnego, że, by zwyciężyć, stara się być stroną... bardziej nienawidzącą.

Tak też żył. Kochał, nienawidząc. Posypały się na niego z tej strony ciężkie, prawie śmiertelne ciosy. Pod ich bowiem uderzeniem duch jego zaczął konać i w długich godzinach konania zaczął szukać związku pomiędzy męką swoją, którą mocą całej wysubtelnionej świadomości *rozumiał* i czuł, i pomiędzy siłami, których nie znał dotąd. Wtedy to przerażonym jego oczom ukazała się w całej grozie postać do owego czasu nieznana. Ukazała mu się wina. I fanatyk *świadomości* stał się w ten sposób fanatykiem *sumienia*. Dowcip filozofa w tym wypadku wyraża prawdę psychologiczną: Ge-wissen kommt vom Wissen...

Dramat „Przed sądem wyższym“ po „Infernie“ i „Legendach“ pisany, jest tragedyą sumienia.

Obok winy spostrzegł też podówczas całą chmurę sił, dla których w napadach obłędu prześladowczego szukał imienia. Nienawidził ich tak, jak w jego mniemaniu jego nienawidziły, przypisywał im podłość i złośliwość ludzką, chociaż nie wątpił, że była to zemsta szatana. Wreszcie zmęczony, wycieńczony siadł u progu kościoła. Gdy stąd spojrzał na swoje i ludzkie koleje wydało mu się, że owa *Nemesis divina*, w którą wierzył Lineusz, a którą sam do niedawna nazywał „nielogicznym przesądem,“ włada i kieruje istotnie ludzkimi losami. Wyrazem tego poznania jest dramat „Szał.“

W obu tych dramatach, zarówno w tragedyi sumienia, jak i w tragedyi zemsty bożej odnajdujemy już tylko Strindberga z ostatnich kart „Inferna.“ Znikł sarkasta — a narodził się w kościele moralista, który wszakże odbywa jeszcze pokutę i czeka łaski *miłości*. Dotąd bowiem nie kocha: sili się tylko na tony ugodowe i rozpoczyna ugodę ze światem, rehabilitując — Boga i szatana. Zakrawa to raczej na smu-

tną jakąś zgodę z zaświatami, chociaż niepodobna zaprzeczyć, że w ohu wspomnianych dramatach dostrzega ludzi trochę bielszych. Może z czasem Strindberg wymoże na sobie tę rehabilitacyę rodu ludzkiego, który w „Szale“ dokonać kazał pisarzowi Maurycemu Gérard — wątpię tylko, czy kiedykolwiek — z serca i przekonania — zrehabilituje — kobietę...

„Potwarz ludzka nie mnie nie obchodzi. Chodzę do spowiedzi i na mszę świętą, kiedy zaś wybije godzina i stanę przed Najwyższym sędzią powiem: błądziłam Panie. lecz w każdym razie *byłam lepsza od mej sąsiadki.*“

Temi słowami podnieca się pani Lagman, żona sędziego, ilekrotnie chciwość lub próżność wskazują jej nowe źródło brudnych zysków. Im gorzej czyni, tem więcej i tem uroczyściej mówi. Mówi, jak człowiek, który boi się, aby mu podjętej myśli nie przerwano, nie spłoszono. Nuż, nie wróci?... Nuż, przyjdzie inna, mniej miła?... I litanię cnót swoich powtarza sobie tak często, że nie ma co do nich żadnych wątpliwości. Przed Najwyższym sędzią ma zamiar powiedzieć, że była lepszą od swego sąsiada, w życiu wszakże sąsiad i otoczenie wogóle są uosobieniem chytrości i nikczemności. Lagman jest jej echem i wierzy w rozum żony i... w czepiec, w jakim się urodził i, na tej wspierając się wierze, z krzywd ludzkich wznosi sobie Mausoleum, w którym wraz z żoną pragnie spocząć po śmierci. Mausoleum wznosi się na miejscu, które dawniej było placem straceń i na którym z mocy niesprawiedliwego wyroku Lagmana ścięto człowieka... Lagman nie lubi wszakże tych wspomnień — nie boi się ich, niczego się nie boi — lecz nie lubi ich.

Lagman ma córkę zamężną i dwoje wnucząt. Zięć dzierżawi winnice, które źle owocują — czynszu dzierżawnego płacić teściowi nie może. Małżonkowie Lagman uważają więc kontrakt za zerwany z winy zięcia, którego wypędzają, zatrzymując córkę i dzieci. Adolf odchodzi, lecz tak żegna swoich dobroczyńców:

— Biada wam! Bowiem nadejdzie dzień zapłaty: powstaną wasze zbrodnie, jako trupy z mogił, i oskarżać was będą. Niechaj Bóg was nagrodzi wedle zasług!

Słowa te dziwnie mącą spokój Lagmanów, zdaje im się, że jakaś tajemnicza ręka poruszyła nagle muł ich wspomnień, czyniąc, że podniosły się i jako złowieszcze widma krążyć zaczynają koło Mausoleum. Słońce — a oboje słońca nie lubią — czyni im dziwne znaki, sąsiad opowiada o niesprawiedliwym sędziu, który w czasie winobrania straszy po piwnicach wraz z duchami tych, których niewinnie na śmierć skazał. I ukazuje się wreszcie braciszek franciszkanin, który, wyliczając im zbrodnie ich powiada:

— Żałujcie i zwróćcie nieprawnie nabyte dobra!

— Nie kradłem; cokolwiek mam, nabyłem w drodze prawnej! — odpowiada Lagman.

Nie chcę słuchać głosu sumienia a sumienie wciąż woła. Ta praca sumienia odbywa się w każdym z nich zosobna, słyszą ją, lecz boją się uświadomić ją sobie, kryją się przed sobą i, tak się kryjąc, tracą zwolna dawne do siebie zaufanie i zaczynają podejrzewać się wzajemnie o najgorsze i najnikczemniejsze względem siebie zamysły. Dawna ich jedność jest rozbitą. Stają się wzajem wrogami. Widma straszą i niema mocy, któraby je odpędziła. Bóg nie chce pomódz — wzywają tedy „tego drugiego,“ nie wymawiając jego imienia. I zjawia się „ten drugi.“

Nie jest to już ów dyabeł z „Inferna,“ chociaż jeszcze i tu posługuje się techniką . spirystyczną. Jest to dyabeł biednie ubrany, niepozorny, smutny i nieszczęśliwy. Nie boi się znaku krzyża „bo odbywa czas próbny, po którym znak ten nie będzie dlań już strasznym.“ Jest „tym drugim“ — ponieważ chciał być pierwszym; był złym człowiekiem i za karę służyć musi dobremu. „Nie przychodzę, by znęcić was złotem i zaszczytami, ćwiczyć was przychodzę rózgami i skorpionami.“ Nie ćwiczy jednak odrazu, nie czyha na duszę. Ostrzega, namawia do poprawy. Lagmanowie przyrzekają poprawę podczas bezsennych, gorączkowych nocy, pod bezpośrednim naciskiem trwogi, którą wyśmiewają nazajutrz. I gdy się to powtarza kilkakrotnie, dyabeł czyni sprawiedliwość. „Oko za oko, ząb za ząb! Ewangelia brzmi inaczej, tej jednak nie znałaś.“

Gnani wyrzutami sumienia Lagmanowie uciekają od siebie. On ginie pod kamieniami, z ręki tych, których krzywdził, ona umiera w przydrożnym rowie, w bagnie, nie otrząsnąwszy się ani na chwilę z nikczemności, którą żyła. Ciekawa jest jej przedśmiertna rozmowa z bardzo charakterystyczną dla dzisiejszego Strindberga czarownicą.

— Pomóż mi — powiada do czarownicy.

— W czem?

— W walce z moimi wrogami.

— Z wrogami twymi walczyć można jedną tylko bronią: czyń im dobrze.

— A to co? — mówi Lagmanka — świat jest odmieniony! Nawet „ten drugi“ jest dziś zupełnie inny.

— Czas więc i na ciebie! — odpowiada czarownica.

I piekło Strindbergowskie, do którego po dniu wielkiego sądu zstępują Lagmanowie, inne jest, niż bywało dotychczas. Mistrz ceremonij piekielnych, „ten drugi“ spełnia tu smutny obowiązek złego. W pośrodku poczekalni piekielnej stoi popiersie Pana, gdyż „wszyscy tu jesteśmy starzy: kiedy bowiem nadszedł nowy czas, kiedy rozpoczął się *pierwszy* rok, pozostaliśmy w tyle.“ Czarownica „na gwiazdkę“ rozdaje obecnym małe panoramy ich życia, małe biografie, z których najpiękniejsze, najjaśniejsze wspomnienia wyłaniają się pod postacią wstrętnych, potwornych obrazów. I tych, którzy na ziemi nie znali skruchy, przenika tutaj poznanie i żal. Nad piekłem tem położyć by można napis: „Tu mówi sumienie.“ I w noc Bożego Narodzenia wschodzi nad tem piekłem gwiazda nadziei, gwiazda, która pasterzom na pustyni wskazywała drogę. Duchy piekielne pospołu ze skruszonymi Lagmanami klękają przed Matką bożą i jej dziecięciem, śpiewając: Chwała Bogu na wysokościach i pokój na ziemi ludziom dobrej woli...

Tak więc z piekieł dopiero dostrzegł Strindberg ludzi *dobrej woli*...

Zawikłania dramatu „Szał“ nie są według zdania występującego w nim księdza „dziełem ludzkiem.“ Rzekłbyś, że to „demony pracują nad zatratą człowieka,“ lub że Bóg „zsyła karę za grzechy niewiadome.“ Genialny literat, Maurycy Gérard, który wystawia dramat, mający na celu „zrehabilitowanie ludzkości“ w szale powodzenia zstępuje na drogę grzechu. Pcha go jakaś fatalna, obca mu siła, która posługuje się oczywiście — kobietą. Gerard porzuca własną kochankę i dziecko, które niewypowiedzianie kocha, zabiera kochankę przyjacielowi i popełnia cały szereg duchowych zbrodni wobec dziecka i wobec przyjaciela. Pragnie przez chwilę śmierci owego ukochanego dziecka i — dziecko umiera. Strindberg wierzy w zabójczą siłę myśli. Na Maurycego pada podejrzenie co do otrucia dziecka; sztukę wykreślają z repertuaru, człowiek wczoraj najsłynniejszy i najszczęśliwszy w Paryżu jest dziś opuszczonym przez wszystkich prawie, nędzarzem. Przechodzi przez jedną dobę całą skalę najstraszliwszych upokorzeń, poczem rzecz wyjaśnia się w ten sposób, że niewinność Maurycego zostaje stwierdzoną: uśmiecha mu się znów powodzenie i sława. Ale on, który poznał ich znikomość, niczego już nie pożąda. Rozpocznie drogę pokuty... wewnętrznej, chociaż nie wyrzeknie się literackiego huszyszu.

I w tym dramacie, w którym wszystko dzieje się mocą siły wyższej, Strindberg powiada już bez osłonek, że niema w człowieku rzeczy, któraby nie byłaby *łaską*. Żal jest łaską i łaską jest wiara. Trzeba tylko pragnąć i szukać...

Określa też tu po raz pierwszy sumienie, jako wstręt naszego lepszego „ja“ przed złymi uczynkami, które płyną z gorszego źródła naszej istoty. Określa religię jako karę, gdyż „religijnym staje się człowiek pod wpływem zgryzot sumienia.“ I nienawidzącym każe zwrócić ostrze nienawiści przeciwko sobie samym...

„Niema dobrego człowieka — powiada, któryby nie miał na sumieniu jakiejś winy. Dobry człowiek umie przebaczać, przebaczyć zaś potrafi tylko ten, kto sam potrzebował przebaczenia... Bywa wszakże, że grzeszymy myślą, popełniając zbrodnie, które pod żaden nie podchodzą kodeks. Karze je sumienie...“

„Miałem przyjaciela, który nigdy źle o nikim nie mówił, przebaczał wszystkim i obelgi przyjmował z radością. U schyłku lat wyjaśnił mi swoją tajemnicę: „czynię pokutę“ — rzekł. Wobec ludzi zawinił.

Nie uwierzę jednak w zbawczą moc tej pokuty, póki Strindberg nie przebaczy — kobiecie. Zdaje mi się, że rychło pęknie mozolnie związany łańcuch, jeśli Strindberg nie potrafi wzmocnić podstawowego ogniwa...

Malwina Posner-Garfein.

WYSTAWA PARYSKA.

Paryż, 28 lipca.

August Rodin.

Całe dwa ogromne pałace oddano na wystawę sztuk pięknych; nagromadzono w nich tysiące obrazów i rzeźb artystów wszystkich narodów: rozrzucono jeszcze wiele posągów po okalających pałace ogrodach. Kto chce studyować dzieje sztuki i cechy charakterystyczne różnych szkół w ciągu ubiegłego stulecia, niech idzie do działu historycznego — znajdzie tam bogaty materyał; kto chce naocznie przekonać się, do czego spada czasem urzędowo medalowana robota — niech się przejdzie po licznych salach wystawy dzieł z ostatniego dziesięciolecia i po męczącym swą przeciętną poprawnością lesie rzeźb. Ale kto pragnie zobaczyć wystawę jedyną w swoim rodzaju, prawdziwe w szlachetnem znaczeniu tego wyrazu *clou* całej wystawy tegorocznej, kto chce mieć wrażenie niezapomniane, zarazem wstrząsające i rozrzewniające, temu radzę ominąć nęcące wspaniałością pałace oficyalne, gdzie przytępiony jednostajnością wzrok z trudem odnajdzie kilka prawdziwych arcydzieł, drgających życiem i prawdą, jak „Pocałunek“ Rodina, lub dzieła Belgijczyków Lambeaux i Konstantego Meunier, a udać się wprost na plac d'Alma. Tam — po za obrębem wystawy, ale tuż w pobliżu jego — stoi skromny, trójkątny pawilonik drewniany, a w nim wielki rzeźbiarz, August Rodin, zgromadził 150—200 utworów, prawie całkowity owoc pracy życia, całej prawie już czterdziestoletniej działalności artystycznej.

Gdy się wchodzi, uderza przedewszystkiem surowa, potężna, na pierwszy rzut oka niewykończona postać, owinięta w szeroko sfałdowany płaszcz, z którego wystaje tylko bardzo żylasta szyja i jakaś szydercze smutna a zarazem orla twarz. To ów słynny pomnik Honoryusza Balzaca; zamówiło go u Rodina przed kilku laty towarzystwo literackie (coś w rodzaju ka-

sy emerytalnej) i najpierw przez jakiś czas gorzko skarżyło się we wszystkich dziennikach, że artysta, „czekając na natchnienie," opóźnia się z wykonaniem obstalunku, a potem — odmówiło przyjęcia pomnika, jako „niewykończonego, brzydkiego, niepodobnego, niezrozumiałego." Falquiere zrobił im wtedy zwyczajnego tłustego człowieka, bez żadnego wyrazu w twarzy, siedzącego w szlafroku na ławce, czem najzupełniej zadowolił archikonfraternię literacką; Rodin zaś nietylko nie obraził się na kolegę, ale jeszcze uwiecznił go w przepysznem charakterystycznem popiersiu. Polemika o Balzaca, jak to nieraz bywa, rozniosła sławę Rodina po całym świecie i w salonie przed dwoma laty tłoczyli się przed pomnikiem autora „Komedyi ludzkiej" nietylko znawcy, ale i szeroka publiczność. Nie postarzał się ten pomnik przez ubiegłe dwa lata — i nie prędko się postarzeje. Niepodobny rzeczywiście do żadnego z istniejących może na całej kuli ziemskiej wyobrażeń wielkich ludzi, któremi potomność zdobi place swych miast; trudno doprawdy dziwić się filistrom, że nie odważyli się wystawić go na nieuniknione wzruszenia ramion i wzgardliwe uśmiechy ogółu przeciętnych przechodniów. Rodin bowiem odrzucił zarówno wszystko, co w życiu codziennem robi z myśliciela i geniusza człowieka takiego, jak wszyscy — współczesnej mody surdut i spodnie, jak i wszelkie utarte symbole: odział swego Balzaca poprostu w mnisi habit, w którym miał on zwyczaj pracować, a całą uwagę skupił na głowie, którą naszkicował wielkimi rzutami, licząc się z perspektywą wielkiego placu. Więc z głębokich orbit dumnie z lekka podniesionej głowy patrzą w dół trochę przymrużone, przenikliwe oczy, a w słabym uśmiechu, nieco wykrzywiającym usta, w wygięciu całej szczelnie obwiniętej postaci, jest dziwny wyraz pobłażliwej, bo wszystko rozumiejącej, ale imponującej i jakby wyzywającej wyższości. Bez żadnych atrybutów symbolicznych postać ta jest jednak sama przez się symbolem, typem syntetycznym satyryka, który wie, że po ludzkości wszystkiego się spodziewać można, ale pomimo to przebacza jej i kocha ją nawet...

Nie miał wogóle szczęścia do sędziów urzędowych ten poszukiwacz nowych dróg. Przed Balzakiem pociągnęła go postać równego olbrzyma, królującego nad Francyą XIX w. — Wiktora Hugo. I tego przedstawić zapragnął w marzeniu syntetycznem jego duchowej istoty: rzucił go nagiego — pozaspołecznego, pozatowarzyskiego — na skałę nadmorską, a za jego plecy zwiał wichurą na tęż skałę „głosy" natchnienia: zasłuchanemu starcowi kładzie on w ucho groźne legendy wieków, druzgocące ponęty, gdy z drugiej strony z plusku przybrzeżnych fal wychynął „głos" inny, młode, zroszone ciało dziewicze, rozśpiewane tkliwością i współczuciem. Wielki poeta spędził dziesiątki lat życia w takiej kontemplacyi tajemnic oceanu wód i oceanu dnia; ale „komisya rozpoznawcza (ileż razy wsławiły się te organy przeciętnej opinii!) uznała takie wyobrażenie wieszcza za niegodne klasycznego Panteonu. A jednak Rodin dowiódł jednocześnie, wystawiając cały szereg mistrzowskich popiersi: Puvis de Chavannes'a, Oktawiusza Mirbeau, J. P. Laurensa, a szczególnie — dziwnie starczego i zbolałego urzędowego rzeźbiarza ciał nagich, Falguières'a, energicznego i szlachetnego artysty-plebejusza Dalou, nadwornego błazna tłuszczy Rocheforta — że potrafi władać i zwykłymi „akademickimi" środkami technicznymi i z ich tylko pomocą wydobyć z twarzy najcharakterystyczniejsze iskry ducha; tylko dla tematów wyjątkowo olbrzymich użył on też niepospolicie śmiałych i wyjątkowych środków.

Sąd przeciętny wyrzuca nieraz Rodinowi, że jego utwory nie są wykończone. Rzeczywiście, często tak jest. Gdy chodzić będziecie po tych czterech czy pięciu salkach, odniesiecie z początku wrażenie, które doskonale uzmysławia jedna mała grupka: dwa dziwnie powyginane ciała kobiece, pół-klęczące, pół-leżące, w falistych, wijących się ruchach usiłują — nadaremnie — pochwycić jedno drugie, dosięgnąć się i zatrzymać. Odrazu zgadujecie alegoryę: to fale morskie gonią się i zda się, nigdy jedna drugiej nie dopędzi, nigdy nie zatrzymują się one, połączone, w spoczynku. A jednak całość ich tworzy coś cudownego i określonego: morze. A jednak połączenie tych dwóch ścigających się i wyślizgujących się wzajemnie istot daje prześliczny, zaokrąglony kształt i linię. Tak samo przez twórczy umysł Rodina przepływają pomysły i obrazy; przeważnie znajdują się one w stanie płynnym, niezakończonym; ale przez to samo właśnie każdy z nich pozostaje w ciągłej, niejako panteistycznej łączności z całością wielkiego świata kształtów, stanowiącego umysł rzeźbiarza. Rodin nie tworzy, jak inni artyści, jednego dzieła na rok czy na sezon: słusznie powiedziano o nim, że przez całe życie i w każdej chwili pracuje on nad całością swych dzieł, rzec można—nad jednem wielkiem *dziełem* swojem, odzwierciedlającem ogromne mnóstwo — całą niemal gamę — okruchów duszy ludzkiej. Jest nawet jeden określony „numer," który ma być jakby skondensowaniem całości tego dzieła i do którego też przygotowawczemi studyami są niemal wszystkie inne poszczególne utwory — to słynne już „Wrota piekła" dantejskiego, na których pewne grupy przedstawiać mają objawy życia, za które cierpieć trzeba — czyli wszystkie objawy życia... Ale mówię: przedstawiać mają, bo „Wrota piekieł" nie są wykończone i kiedy będą—nie wiadomo. Rodin nigdy nie tworzy na termin. Podziwiać tylko można ogólny szkic ich i kilkanaście umieszczonych już grup; ale pojęcia o przyszłej całości dać to, niestety, nie może. Jednak i bez tego pomocniczego streszczenia baczniejszy wzrok dostrzeże wkrótce po kilku uważnych wizytach, że w tych stu kilkudziesięciu utworach wszystko łączy się z sobą, wysnuwa się jedno z drugiego i że jeszcze nieograniczone bogactwo nowych kształtów i wyrazów ducha mogłoby się z nich wysnuć: na przyszłość. Ze zdumieniem patrzy się z początku na jakieś niedość określone, dziwaczne kształty, na najmniej spodziewane, najnienormalniejsze ruchy, wykrzywienie, rozkraczenie jakichś faunów i dryad, na które najzwyczajniejszy plastyk by się porwać nie ośmielił. A to po bliższem zapoznaniu się z całością okazuje się, że mistrz, obcując nieustannie z królestwem kształtów i ruchów, czy to w wystawionych także rysunkach i szkicach odręcznych, czy w tych grupach i figurynkach, przygotowuje sobie umyślnie całą *paletę ruchów*, których z całą swobodą użyje kiedyś w potrzebie. Kiedy? Wówczas, gdy rozsnuwając, zda się, bez końca *leitmotiv* jakiejś namiętności czy porywu — słusznie go pod tym względem porównam z Wagnerem — poczuje chwilę odpowiednią do uderzenia wielkiego, skończonego akordu — kiedy z pod dłuta jego wychodzi jakiś pomnikowy kształt, jak kwiat jasny wykwita ponad ciemną, tłumną wegetacyą pokrewnych roślin niższych.

(D. n.).

K. Radosławski.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

FILOZOFIA. Dr. Stanisław Garski: „Etyka Ludwika Feuerbacha," str. 205.

ROLNICTWO. „Zbiór wykładów popularnych, wygłoszonych w sekcyi rolnej," tom II, Uprawa łąk. (Nakł. *Gazety rolniczej*).

ETNOGRAFIA. *Wisła*, tom XIV, zeszyt trzeci. (Udziela: Świat nadzmysłowy ludu krakowskiego; Nałkowski: Kronika geograficzna; Smólski: Z wycieczki na Mazowsze Pruskie.

LITERATURA. P. Chmielowski: „Historya literatury polskiej," tom V (1831—50). („Bibl dzieł wyb.").

— „Slovansky Prehled," czerwiec, 1900 (Praga red. A. Czorny).

SPRAWY EKONOMICZNE

ERA MASZYNY.

(Według prof. G. Schmollera).

(Dokończenie).

Niezależnie jednak od kwestyi powiększenia i stanienia produkcyi ekonomicznej, pozostaje jeszcze do rozważenia zmiana w organizacyi gospodarstwa, w stanowisku klas społecznych, rodziny, przedsiębiorstwa itd. Różniczkowanie społeczne nabrało niebywałego dotąd znaczenia. Nowe koła społeczne, panujące, używające, dobrze i źle użytkowujące swoją władzę i swoje bogactwo, urosły kosztem innych, które w tym samym stosunku pozostały w tyle, zostały sponiewierane, po części zmiażdżone w walce konkurencyjnej. Kupcy dzięki postępom techniki w zakresie komunikacyi, a mianowicie bardziej obrotni, przebiegli, obdarzeni fantazyą, wysunęli się na przód życia gospodarczego i zdobyli największe zyski. Z drugiej jednak strony nowoczesna technika ma to do siebie, że może być z ogromną łatwością naśladowana, że drukowane słowo i łatwo przenośny model pozwala zapoznawać z nią wszystkie narody świata aż do Japonii i Indyj. A zewnętrzny rezultat techniki maszynowej — coraz liczniejsze kapitały i coraz niższa stopa procentowa — umożliwił dużej części narodów udoskonalenie produkcyi, a klasom robotniczym — wywalczenie lepszej płacy. Drugim skutkiem techniki i ulepszonych środków komunikacyi są przeobrażenia „przestrzenne": powstanie wielkich miast, i ognisk przemysłowych, upadek ludności wiejskiej, wzrost migracyi, coraz większy podział pracy pod względem geograficznym itd. Dalej skutków techniki szukać należy w rozkwicie przemysłu wielkiego. W ostatnich dziesięcioleciach wielkoprzemysłowa technika gmin i państw święciła niejednokrotny tryumf w zakresie nietylko dróg wodnych i lądowych, urządzeń wojennych, ale i w zakresie instytucyj kolejowych, pocztowych, telegraficznych, aż do budownictwa. A dziś słyszymy powielekroć wyraźne żądanie *uspołecznienia* zastosowań techniki nowoczesnej. Zarzutowi, że nasze miasta z organizmem powiązanych z sobą domów przeobraziły się w bezrządną gromadę warsztatów, fabryk i dworców kolejowych, możnaby przeciwstawić żądanie, orzekające, że miasto nowoczesne stanie się wielkim organizmem technicznym, w którym policya drogowa i budowlana wyznaczać będzie miejsca dla mieszkań i warsztatów, parków i szkół, hal targowych i dworców kolejowych i że wszystkie te punkty połączone będą jednem urządzeniem wodociągowem, gazowem i elektrycznem. Posiadać będą jednakową kanalizacyę, korzystać z jednakowych wszędzie ulic, środków komunikacyjnych, szpitali, teatrów i innych z gospodarstwem społecznem nowoczesnego samorządu związanych funkcyj.

Próbowano dzielić postęp techniczny według grup, którym służy, jako to jednostkom i rodzinom, albo większym organizmom społecznym. Pług służył gospodarstwu rodziny; urządzenia irygacyjne należały do gospodarki gminy; ze strzelby korzysta jednostka. Jeżeli jednak możemy o wielu bardzo zakresach techniki nowoczesnej mówić, że dążą one do wielkotechnicznego rozwoju (para, elektryczność, liczne części budownictwa), to jednak specyalnie techniczne przyczyny nie stanowią jeszcze o tem, czy fabrykacya gazu ma pozostawać w ręku osób prywatnych, albo zarządu gminy, czy kolej ma lub nie ma przejść na własność państwa. Wniosek Hobsona, że wszelka technika w wielkim stylu powinna znajdować się w rękach korporacyj publicznych, ponieważ technika ta, opanowana przez maszynę, oznacza: mechanizacyą procesów pracy, ujednostajnienie potrzeb i tworzenie się do wyzysku pociągających monopolów, jest przesadny albowiem nie uwzględnia częstych i zmiennych potrzeb, którym służyć musi przemysł maszynowy, a które oddają go w ręce kupieckie.

W zakresie ruchu społecznego najważniejszym skutkiem rozwoju techniki jest wytworzenie się licznego stanu najemników i w promieniu interesów tego stanu leżą liczne dodatnie i ujemne rezultaty rozwiniętej pracy maszynowej. Jeżeli wszelki cel maszyny ogniskuje się w zaoszczędzaniu pracy ludzkiej, to nie ulega żadnej wątpliwości, że nowoczesny rozkwit produkcyi maszynowej stale co raz to inne rzesze robotnicze pozbawiał pracy i zarobku, a zarazem obniżał płacę współzawodniczącej z maszyną pracy ręcznej. Świadczą o tem zarówno stałe niezadowolenie i czynny opór robotników przy wprowadzaniu maszyn, jak i chroniczna nędza tkaczy — a wszystko to wypełnia całe stulecie 1770—1870 — jak i współczesny nam już brak pracy. W Stanach Zjednoczonych (według Wellsa i innych) postępy techniki uczyniły w czasie od 1870—1890 r. niepotrzebnemi robotników: w przemyśle stolarskim 25—30%, w fabrykacyi tapet 93%, w przemyśle metalowym 33%, w fabrykacyi wagonów 65%, przędzy jedwabnej 50%. Zastąpienie pracy mężczyzn przez pracę kobiet i dzieci jest również rezultatem tego procesu. Otóż mówią, że cała ta nędza była tylko przejściową i jest to poniekąd prawdą. Młodsze siły znajdowały stale pracę gdzieindziej; następne pokolenie stawało często w krajach eksportujących wobec znacznego popytu na pracę ludzką, ale pomiędzy zaczynającą się nędzą i napływającą pomocą mógł się znaleźć duży odstęp czasu i iluzye manczesterczyków, że tego rozziewu nie było, że przeciwnie stanienie towaru, wywołane przez maszynę, prowadziło za sobą natychmiastowo wielki popyt na sam towar, należy do szeregu grubych i niebezpiecznych ułud. Proces ten będzie trwał dalej, tylko będzie mniej się dawał we znaki, o ile wysoko pod względem technicznym rozwinięty i ruchomy stan robotniczy potrafi się prędzej przystosować do zmian technicznych.

Prawidłowość, nieprzerwalność pracy dawniej związana ze stosunkami patryarchalnymi i rynkiem miejscowym, była daleko większa, niż dzisiaj. Im rynki stawały się dalsze i im umowy pracy zawierane bywają na krótsze terminy, tem staje się ona mniejszą. Odczuwano mniej tę nieprawidłowość w czasach, kiedy robotnik posiadał kawałek ziemi. Dziś pracodawca nie odczuwa żadnej odpowiedzialności za brak pracy w przemyśle drobnym, domowym, np.: w większym przemyśle t. zw. konjunktury, moda — stwarzają ciągłe kryzysy. Stwierdzić atoli należy, że cała ta kwestya zależy w zupełności nie od techniki, jeno od ordynacyi społecznej gospodarstwa.

Wpływ maszyny na stopę życiową, zdrowie, siły i wykształcenie robotników nie da się wyrazić w jednej krótkiej formule. Pod tym względem panuje znaczna różnorodność. Maszyna do szycia i lokomotywa, stół tkacki i młot parowy tylko w różny sposób oddziaływać mogą. Wogóle można będzie powiedzieć, że dawniejsza praca w domu i na roli, zarówno jak w warsztacie była na skutek swoich urozmaiceń bardziej dla natury ludzkiej przyjemną, ale jednak przed tysiącami lat na długo przed wynalazkiem wszelkiej maszyny istniała wyczerpująca, szkodliwa praca w kopalniach i przemyśle domowym na okrętach i na zagonie rolnym; oparta na wyzysku, niszcząca zdrowie, skracająca życie praca ręczna, zarówno niewolników, poddanych, jak wolnych najemników istniała we wszystkich starożytnych i nowożytnych krajach cywilizowanych. A dla tych sfer maszyna stworzyła możliwość oszczędzania przynajmniej muskułów. Czy w praktycznem życiu owo zaoszczędzanie istotnie miało miejsce, to inna zupełnie kwestya. Wpływały tutaj inne znowu ujemne czynniki: nienaturalna długość dnia roboczego, niehygieniczne mieszkanie fabryczne, złe powietrze, niedoskonałe instytucye społeczne; dlatego też wtórne następstwa przepracowania, złego odżywiania i mieszkania, jak wzrost proletaryatu, alkoholizm, ospałość, które już dawniej trapiły klasę pracowników ręcznych, nie zaniknęły odrazu z wprowadzeniem maszyny, a przeciwnie częściowo znacznie nawet wzrosły. Że maszyna i jej procesy przy doskonałym, nieskończonym podziale pracy nuży, zabija ducha — to powszechnie wiadomo. Z drugiej jednak strony posiada maszyna wysoce pedagogiczne znaczenie: skłania do porządku i dokładności, do zastanowienia się, powiększa zasób wiadomości technicznych. Im bardziej złożony jest mechanizm maszynowy, tem więcej wymaga on odpowiedzialnych, rozumnych, wykształconych, dobrze odżywianych i płatnych robotników. I jeżeli nie posiadamy już dzisiaj robotników z tak urobionemi i doskonałemi pod względem artystycznym rękami, jak pomocnicy Praksytelesa, to nie ulega żadnej wątpliwości, że w znacznej części naszego pod względem technicznym wysoce rozwiniętego przemysłu, posiadamy robotników, którzy umysłowo i technicznie, fizycznie i moralnie nietylko wytrzymują porównanie z lepszymi robotnikami wszystkich czasów, ale ich znacznie przewyższają.

Ostatecznie jakiż będzie nasz sąd o erze maszyn? Optymiści Chevalier, Passy, Reuleaux albo Fourier i Bebel widzą tylko samo światło; pesymiści, jak Sismondi i Marx, spostrzegają przeważnie tylko cienie; współczesny, umiejętny pogląd, krystalizujący się w dziełach Anglików Nicholsona, Marshalla, Hobsona leży po środku. Technika nowoczesna i maszyna przeobraziły ustrój gospodarczy przy słabem zaludnieniu, małych miastach, feodalnym skostniałym ustroju agrarnym, miejscowych rynkach — w nowożytny organizm ekonomiczny, który znajduje swoją charakterystykę w gęstem zaludnieniu, wielkich miastach i ogniskach przemysłowych, wielkim przemyśle, wspaniałym obrocie i podziale pracy nieograniczonym przestrzenią. Dobrobyt i stopa życiowa wzrosły wszędzie nadzwyczajnie; udział w tem jednak oddzielnych klas jest w różnych krajach różny. Zaś bardziej powszechnymi są wpływy techniki na coraz częstsze zbliżanie się ludzi, na coraz obszerniejszy zakres wiadomości, bardziej napiętą ruchliwość. Życie staje się coraz bardziej piękne, estetyczne; sztuka używania, wchłaniania w siebie rozkoszy życia staje się coraz bardziej wydelikaconą. Również całe życie gospodarcze nawet w granicach domu, zagrody chłopskiej staje się coraz bardziej racyonalnem, odpowiadającem wskazaniom przyrodoznawstwa, bardziej uruchomionem, bardziej energicznem; a jednocześnie stało się ono coraz bardziej złożonem przez związek z innemi gospodarstwami, zależnem od przyczyn ogólniejszych, łatwiej podlega zniszczeniu i kryzysom. Im bardziej produkujemy dla przyszłości, na zewnątrz, na odległość, tem więcej możemy się mylić. Ale za to mamy większe zapasy, które umożliwiają skuteczniejsze wyrównanie potrzeb w czasie i przestrzeni. Ostatecznie łatwiej opanowujemy dzisiaj, niż wczoraj kryzysy i chwilowe przesilenia ekonomiczne; im bardziej rośnie technika, tem łatwiej zwycięża przypadek. Wszelka postępowa technika przedstawia obraz zwycięztwa ducha nad naturą, ale tu nie koniec. Opanowanie natury, przyrody nie wystarcza, ideały etyczne muszą rządzić ordynacyą stosunków ekonomicznych. Dziś widzimy wokoło siebie stare i nowe czynniki bytu; wszystko fermentuje; stare ordynacye rozpadają się, a nowe jeszcze nie istnieją. Pracowitość, pilność wzrosły niesłychanie, ale wraz z niemi święcą tryumfy żądze posiadania, władzy, używania, bezlitość walki konkurencyjnej; cynizm, w materyalnych uciechach trawionego życia bez celu. Szlachetność poglądu na świat, bardziej podniosłe pojmowanie religii, uczuciowość—mały postęp uczyniły w klasach wysuniętych na sam przód życia ekonomicznego. Szczęście wewnętrzne nie wzrosło ani w sferach bogaczów, tonących w użyciu bez miary, ani w klasach średnich i ubogich, zazdroszczących pierwszym zbytku i nadużyć. Pewien znakomity technik mógł zawołać: „Ludzie użycia bez miłości, fachowcy bez ducha, całe owo wielkie Nic wyobraża sobie, że wysunęło się na wysoką niedoścignioną dotychczas w dziejach ludzkości placówkę.“

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Z powodu licznych nieporozumień zaznaczyć warto, że właściciele ziemscy obowiązani są dawać za pieniądze furmanki: 1) przechodzącym wojskom, 2) oficerom i urzędnikom w sprawach służbowych (Dziennik praw, t. 51, str. 184). Bez wynagrodzenia: 1) dla przewozu biednych chorych do szpitala i 2) dla niższych stopni korpusu żandarmów (Cyrk. b. kom. do spraw duch. i wewn z d 28 kwietnia 1855 r.). Rozkład tego podatku, jak również ułożenie kolei i sposobu odbywania, należy do zebrań gminnych. Dozór nad prawidłowem wypełnianiem powyższego należy do wójta, który obowiązany jest mieć księgę sznurową, jako kontrolę, kto i kiedy winien dawać furmanki (§ 827 Postępowania Komit. Urządz.).

— Zjazdy gubernialne złożyły komisyi gubernialnej niżegorodzkiej dane, dotyczące stosowania kar cielesnych w tej gubernii w r. 1899. Podajemy wyciąg z tego sprawozdania, zamieszczony w gazecie *Wołgar*: W 10 powiatach zapadło 88 wyroków kary cielesnej, z których wykonano tylko 11. W 50 wypadkach kara cielesna zamieniona została na inną, w reszcie na skutek skargi apelacyjnej wyrok został skasowany Na 220 sądów gminnych w 170 zupełnie nie stosują kary cielesnej, co *Wołgar* zaznacza z najwyższą radością.

Oświata. *Żurnał* ministeryum oświaty donosi, że ministeryum to zaleciło do bibliotek uczniowskich szkół niższych, do czytelni ludowych i bibliotek oraz do odczytów ludowych następujące książki w przekładzie na język rosyjski: Elizy Orzeszkowej „Adwokat,“ „W zimowy wieczór,“ „Ciężki grzech,“ do czytelni zaś i bibliotek ludowych: E. Orzeszkowej „Romanowa“ i Bolesława Prusa „Michałko.“ Są to wszystko tłomaczenia wydawnictwa p. Slepcowej, ukazujące się w zbiorze p. t. „Książeczka za książeczką“; cena każdego tomiku 5 do 10 kop.

— Zarząd uniwersytetu warszawskiego zwrócił się do ministeryum oświaty o zezwolenie na założenie przy uniwersytecie towarzystw historyczno-filologicznego i prawnego.

Jubileusz. J. V. Schiaparelli, znany astronom i dyrektor obserwatoryum w Medyolanie, obchodził w tych dniach 40-letni jubileusz pracy zawodowej. On to zrobił odkrycie (jeszcze całkiem nie stwierdzone), że planeta Venus nie obraca się koło własnej osi w jednym dniu, ale podaje zawsze słońcu to samo oblicze, tak jak księżyc zwrócony jest do ziemi tą samą zawsze hemisferą. Schiaparelli z powodu jubileuszu był przedmiotem owacyj ze strony włoskich astronomów i matematyków, którzy mu wręczyli księgę pamiątkową, poświęconą jego działalności.

Pomnik. D. 27 lipca odsłonięto w Brukselli pomnik słynnego wodza liberałów belgijskich, Frère-Orbana, przyczem ministrowie Graux i De Swet de Naeyer wygłosili entuzyastyczne mowy. Na pomniku wyryto skromny napis: „Frère-Orban 1812—1895," oraz „Je combattrai jusqu'à mon dernier jour pour la liberte" — zdanie, zapożyczone z jednej z najsłynniejszych mów wielkiego patryoty belgijskiego.

Sztuka. Salon sztuk pięknych A. Krywulta z d. 1 września przeniesiony będzie do znacznie powiększonego lokalu przy ul. Nowy Świat 63.

Przemysł i handel. Skarbowe fabryki i zakłady górnicze w Królestwie Polskiem, tak czynne, jako też obecnie zamknięte, zamierza ministeryum dóbr państwa oddać w dzierżawę na warunkach opracowanych przez komisyę specyalną przy zarządzie zachodniego okręgu górniczego i przedstawionych do zatwierdzenia ministeryum. Oddane mają być w dzierżawę: fabryka żelaza lanego w Bzinie, odlewnia żelaza w Mostkowie w powiecie Iłżeckim, odlewnia w Rojowcu i fabryki obecnie zamknięte, z prawami skarbu do wydobywania rudy. Tenuta dzierżawna wynosić ma 10,000 rb. rocznie bez ogłoszenia współzawodnictwa; licytacyi podlegać będzie tylko wysokość opłaty od puda wydobywanej rudy, przyczem dzierżawca posiadać będzie wyłącznie prawo prowadzenia poszukiwań na gruntach skarbowych w promieniu 12 wiorst od zakładu.

— Węgiel angielski sprowadziło tytułem próby akcyjne towarzystwo I. K. Poznańskiego w Łodzi. Węgiel ten, jakkolwiek znacznie droższy, jest o wiele lepszy i odznacza się niezmierną ścisłością.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu F. D. Z przyjemnością zamieścimy.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава, 20 Іюля 1900 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.